

ZNAD WILNI

TYGODNIK



Rok VI, nr 23 (128)

Wilno, 18 października 1994

cena 40 ct.
(5000 zł., indeks 383678)

W numerze:

- W szkołach Wileńszczyzny - s. 2
- L. Balcerowicz: Banki dla ubogich - s. 3
- Zagłada Żydów z Getta Wileńskiego - s. 4-5
- Kto ocalił Uniwersytet Wileński - s. 5
- Ronald Łaniecki z Fundacji „Więź” - s. 6
- Z notatnika białoruskiego - s. 7
- Czesław Niemen: Piękny ten świat - s. 8

Z TYGODNIA NA TYDZIEŃ

• W czasie oficjalnej wizyty delegacji litewskiej z premierem A. Šleževičium na czele w Izraelu, odbyło się szereg spotkań o charakterze politycznym i ekonomicznym.

• Prezydent Algirdas Brazauskas wziął udział w obchodach Dnia Nauczyciela, które odbyły się w Wileńskim Ośrodku Dzieci i Młodzieży.

• Kościół Bernardynów przekazano zakonowi franciszkańskiemu. 4 października odbyło się ponowne poświęcenie kościoła.

• 5 października minister obrony W. Brytanii Malcolm Rifkind i minister ochrony kraju Litwy Linas Linkevičius podpisali memorandum o stosunkach i współpracy w dziedzinie obrony.

• 5 października wszczęto proces karny w sprawie zabójstwa Vitasa Lingysa, zastępcy redaktora naczelnego dziennika „Respublika”. Na ławie oskarżonych: Borys Dekanidze, Igor Achremow, Wacław Sławickij i Borys Bobiczenko.

• 8 października - zgodnie z ostatnią wolą - prochy Kazysa Griniusa, trzeciego prezydenta Litwy, wróciły do kraju i zostały złożone w Mondžirach.

• W Wilnie z roboczą wizytą przebywała delegacja MSW RP. Rozmowy dotyczyły współpracy w walce z przestępczością.

• Na Litwie zarejestrowano 18 partii i organizacji politycznych.

• Według danych statystycznych, inflacja wciąż rośnie. W lipcu wyniosła 2,1, w sierpniu 2,2, we wrześniu 2,3 proc.

• 28648 bezrobotnych, 61282 poszukujących pracy - taki stan zanotowano w republice na 1 października.

• Na Litwie sprywatyzowano 4800 obiektów. We wrześniu - 62.

• Na wyremontowanie wileńskich ulic, przejść podziemnych, wiaduktów potrzebuje się ponad 3 mln Lt.

• 120 firm z Litwy i zagranicy wzięło udział w wystawie „Statyba '94” („Budownictwo '94”).

• Wileńska Szkoła Średnia nr 5 na Antokolu obchodziła swe 50-lecie.

• W szkołach Litwy brakuje 530 nauczycieli języka angielskiego, 285 lituanistów, 250 germanistów, specjalistów innych przedmiotów. Przyczyną - niskie wynagrodzenie.

• Zwrócono już wiernym 41 świątyń, 169 podań dotyczących zwrotu obiektów należących do gmin religijnych czeka na rozpatrzenie.

• Jubileusz 75-lecia obchodził poeta litewski Eduardas Mieželaitis.

• Od 11 października z poślizgiem kilku dni w różnych dzielnicach rozpoczął się sezon ogrzewczy w Wilnie. Temperatura powietrza w pomieszczeniach ma wynosić nie mniej niż 15 stopni ciepła, gorącej wody - 45 stopni.

• Książka Karola Wojtyły „Miłość i odpowiedzialność” została przetłumaczona na język litewski.

• 50-lecie istnienia obchodzi Litewskie Stowarzyszenie Ociemniałych. Zrzesza ono 6700 członków.

• Litwa znajduje się pośród 11 krajów w Europie, w których stosuje się karę śmierci.

• W Wilnie ma rozpocząć działalność jedyna w krajach bałtyckich Akademia Parapsychologii. Wykładać będą specjaliści z Chin, Japonii, Rosji i Litwy. Nauka ma trwać 4 lata.



Wileńskie spacer. Zanim jeszcze jesień nie zduchnęła wszystkich liści z drzew i aura sprzyja, nie mogą nie zaprowadzić pod budynek imitujący zamek, wcale nie taki stary, gdzie na parterze ulokowała się jedna z najbardziej uczęszczanych kawiarni...

Fot. Piotr Jankowski

Po ratyfikacji traktatu

DROGA KU NORMALNOŚCI

W niektórych mass mediach określono sfinalizowanie dwustronnego dokumentu polsko-litewskiego jako niezwykle zwycięstwo. Byli tacy, którzy też odnieśli się krytycznie, my zaś odnotowujemy fakt - z nadzieją, że porozumienie jednak przyczyni się do zbliżenia sąsiadów.

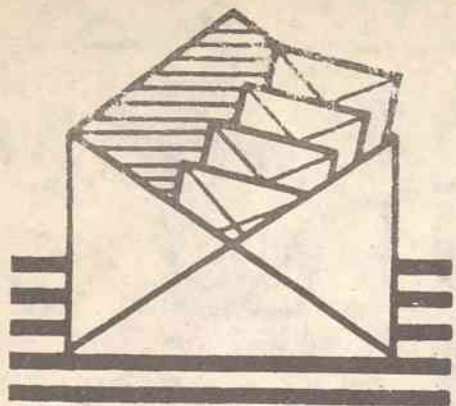
Sejm Polski ratyfikował traktat jednogłośnie. W parlamencie litewskim natomiast niemal piątą część postów jeśli nie była „za”, to nie widziała potrzeby ratyfikowania porozumienia właśnie w takiej postaci. Zanotowano następujące wyniki: „za” było 91 postów, przeciwko - 19, powstrzymało się od głosowania - 8.

Cieszy, że zdecydowana większość parlamentarzystów widzi potrzebę uregulowania stosunków dobrosąsiedzkich. A że trzeba je poprawić - to widać po obu stronach granicy, odczuwa się też w nastrojach obywateli obydwu naszych krajów. Wyrażając zadowolenie, że nareszcie faktycznie postawiona została kropka nad „i”, oczekujemy, iż będzie to dokument „realny”, a zawarte w nim postulaty zostaną przestrzegane. Nie trzeba tłumaczyć, ile pow-

staże dodatkowych możliwości współpracy, zresztą nie tylko z Polską - porozumienie przybliży znacznie Litwę do krajów europejskich, przyczynia się do integracji. Ci, którzy występowali przeciwko, zademonstrowali wąskie, „prowincjonalne” myślenie z balastem historii przesłaniającym potrzeby dnia dzisiejszego. Zaiste dziwne, jak pewne stereotypy ciążyą nad niektórymi politykami, którzy zresztą stale dawali świadectwo takiej postawy. Na szczęście, została ona odrzucona przez większość postów, którzy byli zgodni co do meritum sprawy i wykazali dobrą wolę, by porozumienie doprowadzić do końca.

13 października traktat został ratyfikowany. Jest to szansa zapoczątkowania trwałej drogi ku normalności. Aby tak było, trzeba będzie solidnie popracować w różnych dziedzinach, nauczyć się też przestrzegania dokumentu, zaś w razie konieczności odwoływania się do jego litery.

Romuald Mieczkowski



Oczekuję na „Znad Wilii”

...idę sama, jedna - bez nikogo.

Petna żałosci i gorczy - idę bez celu sama i niczyja.

Złe niepokoję serce pieką, dom niedaleko, lecz daleko.

A ja tak smutnie i ubogo - idę bez celu, idę drogą...

Wybrałam to motto, bo najbardziej odpowiada memu życiu. Piszę rodzaczka, niegdyś z Wilna. Uczyłam się w gimnazjum im. A. Puszkina, ale „silny prąd rzucił mnie na obcy ląd”. Było to w 1944 roku. Teraz jestem na obczyźnie, ale sercem i duszą - w Wilnie. Przyjeżdżałam każdego roku do kochanego grodu, żeby czerpać pokrzepienie, ale od dwóch lat nie byłam. W zeszłym roku zmarł brat i zostałam sama. Jestem urodzona w 1924 roku, ale trzymam się jakoś. Czy da Pan Bóg „dolecieć” jeszcze raz do Ostrej Bramy?

Ludzie szukają siebie wzajemnie w ciągu całego życia - krewnych, przyjaciół, znajomych... I ja znalazłam rodzaczkę w Zawojsku. Właśnie ona, Wanda Bielikowa przysłała mi „Znad Wilii”, opowiedziała o czasopiśmie, poradziła zwrócić się do Redakcji. Zwracam się więc z prośbą o „Znad Wilii”. Proszę nie odmawiać - polskie słowo dodaje mi otuchy. Nie straciłam też wcale wiary w dobroć ludzką. Wierzę, że Opatrzność prowadzi człowieka - choć życie miałam burzliwe i mieszkalam w Taszkencie, Baku, Tbilisi, to wszędzie spotykałam dobrych ludzi. Jest ich jednak więcej.

Chyba największych przeżyć doznajemy w dzieciństwie i wczesnej młodości - później można mieć władzę, wpływy, niezależność finansową - ale nie nie zacierają tamtych chwil. W jednym z nadesłanych numerów „Znad Wilii” zobaczyłam zdjęcie teatru w Ogródzie Bernardyńskim, który za moich czasów nazywano „muszelką”. Była ona świadkiem mojego szczęścia i dobrobytu. Chodziłyśmy wtedy na węgry, stąd na Górę Zamkową... Widok ten przywołał wiele wspomnień i wzruszeń. Pozdrawiam i zostaję z nadzieją, że w jakiś sposób będzie docierać do mnie „Znad Wilii”.

Weronika Juriewa

Kowrow, obw. wladimirski, Rosja

Od redakcji: Będziemy w miarę naszych możliwości wysyłać Autorce wzruszającego listu „Znad Wilii”. Apelujemy do Czytelników, aby zasilili Fundusz im. Prezydenta E. Raczyńskiego, w ramach którego wysyłaliśmy pismo dla rodaków na Wschodzie. Dzisiejsza sytuacja, koszty usług drukarskich i pocztowych sprawiają, że bez pomocy sponsorów i zasobniejszych Sympatyków inicjatywy nie da się rozwinąć, natomiast zapotrzebowanie, jak widać również z listu p. Juriewej, jest.

Wspomnienia przy czytaniu

W „Znad Wilii” znajduję wiele artykułów, które nawiązują do znanych mi miejsc i ludzi. Poprzez gazetę nawiązałam kontakt z Jerzym Pittnerem z Katowic. Jego ojciec i mój dzielili wspólnie los w Pierwszej Brygadzie w Wilnie. Tam też był ojciec Teodozji Piaskowskiej („Z.W.” 14/94), choć jest to nazwisko po mężu. Podobne wspomnienia o ks. Wacławie Bekiszu. Do dziś mam jego fotografię wśród dzieci. Jest tam mój brat Zdzisław, który nie wrócił z wojny, poległ w walce o Wał Pomorski. W latach 1938/39 ks. Bekisz w szkole nr 27 na Kalwaryjskiej uczył mnie religii. Był to drewniany parterowy budynek z cerkwią prawosławną. Brat uczęszczał do szkoły blisko drewnianego kościoła Trynitarzy, obok szpitala wojskowego, skąd chorzy chodzili na nabożeństwa. W tym szpitalu urodził się mój młodszy brat Janusz.

Od szpitala wojskowego chodziliśmy o świcie w górę po drzewo - chrusti i szyszki. Tu zbieraliśmy grzyby i jagody. W kierunku na Niemenczyn piliwałam ze starszym bratem olchy zimę, również przy Kalwarii. Potem dużo chodziłam z ludźmi po Litwie, na Zmudź aż po łotewską granicę - popracować i na handel wymienny, żeby jakoś przeżyć. Mama była chora, a drugi brat miał tylko trzy lata. Najlepiej z całej grupy znałam język litewski. Jak byłam w 1991 roku w Wilnie, kupiłam dużo kartek i map, żeby uzmysłowić drogi, którymi się chodziło w tamte ciężkie czasy. Bardzo bym chciała zobaczyć to miejsce, gdzie się urodziłam - w blokach koszar wojskowych na Nadlesnej. Od Wersowskiej był mały domek wartownika, a tam przy wysokiej topoli przystanek autobusowy, dalej rozciągała się działka ziemniaczana Taraszkiewiczów. Niedaleko stąd przy ul. Chełmskiej (obecnie Żalgirio) mieszkali w swoich domkach wojskowi z Pierwszej Brygady - 1 i 5 pułków, i my również - pod numerem 60...

Ryszarda Śliwowska,
Birmingham, Wielka Brytania

Z imieniem J.I. Kraszewskiego

Już w październiku 1944 r. powstały tu pierwsze polskie klasy. Potem były one w ramach polsko-rosyjskiej szkoły nr 26. Od kwietnia 1993 r. placówka pozyskała imię J.I. Kraszewskiego, a rok szkolny 94/95 rozpoczęła już jako szkoła wyłącznie polska.

W 28 klasach pobiera naukę 571 uczniów. Od kilku lat notuje się wzrost liczby dzieci. W tym roku rozpoczęto naukę w trzech nowych klasach. Utrzymująca się tendencja zmusi najprawdopodobniej szkołę do pracy na dwie zmiany. Jeżeli chodzi o poziom, to zdaniem dyrektora Czesława Malewskiego, jest to szkoła nie ustępująca w niczym „mickiewiczówce”, a przewyższająca w swych osiągnięciach większość polskich szkół na Litwie. I nic w tym dziwnego, gdyż wykłada tu kadra bardzo dobrych nauczycieli. Aż osiemnastu jest absolwentami tej szkoły. Dziesięcioma klasami początkowymi opiekuje się wicedyrektor Zofia Moroz. Pani Helena Juchniewicz, nauczycielka historii, od lat jest inspektorem klas starszych.

Szkoła im. J.I. Kraszewskiego posiada wśród swoich wychowanków wielu laureatów olimpiad przedmiotowych. Spośród nich największym osiągnięciem może poszczycić się Walerian Sokółowski, który zajął pierwsze miejsce w olimpiadzie matematycznej na Litwie oraz zaliczył udany występ w szrankach międzynarodowych. Ta peryferyjnie położona szkoła osiąga także dobre wyniki w różnych zawodach sportowych, posiada wielu utalentowanych lekkoatletów. Chłopcy z drużyny piłkarskiej w ubiegłym roku zajęli pierwsze miejsce w zawodach międzyszkolnych.

Dzięki kontaktom z Macierzą powstały w szkole dwie drużyny harcerskie. Jedną z nich działa już od czterech lat, druga powstała w czasie ostatnich wakacji na obozie w Sudetach. Od 16 lat działa w szkole dziecięcy zespół pieśni



Spotkanie nauczycieli duńskich z dyrekcją szkoły.

Fot. Zbigniew Markowicz

i tańca „Pierwioski”. Dzieci znajdują czas na zajęcia pozaszkolne w kołach przedmiotowych i zainteresowań. Wreszcie staraniem dyrektora w szkole organizuje się izbę pamięci, która spełniać będzie także rolę świetlicy, służąc jako miejsce projekcji filmów oświatowych.

We wszystkich działaniach uczestniczy Komitet Rodzicielski, któremu przewodniczy od dziesięciu lat Zbigniew Markowicz. Wielu rodziców czynnie pomaga, przeprowadzając własnoręcznie najbardziej palące remonty. Ta bowiem położona w malowniczej okolicy szkoły, boryka się z wieloma trudnościami. Wciąż się odwołka przeprowadzenie generalnego remontu w budynku szkoły. Brakuje jednak funduszy, tymczasem lada dzień może przestać funkcjonować kotłownia, zastrzeżenia budzi stan sanitarny...

Władze oświatowe wytypowały szkołę jako jedną z sześciu na Litwie, mającą wziąć udział w

eksperymentem przygotowanym przez duńskich nauczycieli Erika Prindsa oraz Kunda Anderse-na. Eksperyment służyć ma polepszeniu atmosfery psychologicznej poprzez poprawę stosunków łączących nauczyciela z uczniem.

Pierwsze spotkanie Duńczyków z gronem pedagogicznym miało miejsce w pierwszych dniach września. Ciekawe, co z tego wyjdzie? Póki co dyrekcja za pośrednictwem „Znad Wilii” zaprasza wszystkich swych absolwentów na uroczystości rocznicowe, jakie odbędą się 22 października. W programie przewiduje się m.in. mszę połową z udziałem kapłana harcerzy ks. Dariusza Stańczyka, która odbędzie się przed budynkiem szkoły w samo południe oraz uroczyste wręczenie sztandaru szkoły ufundowanego przez Oddział Warszawski Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Ziemi Wileńskiej.

Mariusz Roman

Rozjaśnić sieroce dzieciństwo

Odruch serca



kontakty, dzięki czemu sprawniej można będzie sprawować ten szlachetny patronat.

Wanda Marcinkiewicz

- Nigdy nic mnie z Wilnem nie łączyło. Poznałam to miasto dzięki Arturowi. Modląc się u Matki Boskiej Ostrobramskiej prosiłam o zdrowie dla dzieci - swoich i obcych, naszych - mówi Krystyna Garbacz. - A Artur przyjechał do nas na wakacje letnie z Domu Dziecka w Nowej Wilejce. Był sześć tygodni. Nie widziałam tak dobrze ułożonego dziecka, a mam swoich troje dzieci i wnuków. Jak skończy 18 lat, powiedziałam mu, może do nas przyjechać i zostać.

U p. Sopolnińskich gościła dziewczynka z Domu Dziecka przy ul. Grybo w Wilnie. Była traktowana na równi z dwójkiem dzieci gospodarzy.

- Robiła to, co my. Była po prostu jedną z nas - mówi pan Piotr i podkreśla - Nie z sentymentu podchodzę do tej sprawy, ponieważ nie mam nikogo na Wschodzie. To odruch serca i tyle.

Są to tylko dwie wypowiedzi rodziców ze Słupska, którzy w swoich domach gościli 38 sierot z Wileńskiego Domu Dziecka nr 2 oraz z Domu Dziecka w Nowej Wilejce, a teraz przybyli na krótko do miasta nad Wilą.

Pomoc szkołom polskim

Na zaproszenie Polskiej Macierzy Szkolnej gościła na Wileńszczyźnie 34-osobowa grupa konsultantów z Centrum Edukacji Nauczycieli (CEN) w jego dyrektorcie Ireną Rancer, towarzyszył wiceprzewodniczącą Rady Miejskiej Gdańska Tadeusz Gleinert.

Celem pobytu było zapoznanie się z sytuacją w szkolnictwie polskim na Wileńszczyźnie, wytypowanie najważniejszych, pierwszoplanowych zadań dla dalszej współpracy i niesienia fachowej pomocy metodycznej nauczycielom. Po prostu sprawdzenie, czy pomysły co do tej pomocy zbieżne z sytuacją na miejscu.

Inicjatywa zrodziła się przed dwoma laty w gdańskich instytucjach oświatowych: Kuratorium Oświaty i Centrum Edukacji Nauczycieli. Zapoczątkowała ją akcja paczek świątecznych, przy bardzo ofiarnej pomocy Fundacji „Więź” i szczególnym poparciu prezesa Romualda Łanieckiego. Przez ten okres zorganizowano warsztaty metodyczne w Gdańsku, konsultacje specjalistów-przedmiotowców, letnie rekreacje,

wysyłano literaturę i pomoc dydaktyczną. Nie sposób tu wszystkiego wyliczyć. Tak liczny wyjazd grupy konsultantów w celu zorganizowania sesji metodycznej odbył się po raz pierwszy. Umożliwiła go pomoc Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, oddz. w Gdańsku (kier. prof. Edward Borowski) Politechniki Gdańskiej, Rafinerii Gdańskiej oraz Polonijnego Centrum z Lublina.

Harmonogram pobytu był niezwykle napięty. Zawierał przede wszystkim prelekcje, wykłady i konwersatoria dla nauczycieli i kadry kierowniczej szkół. W tak licznej grupie znaleźli się specjaliści poszczególnych przedmiotów, psycholodzy, metodyści, dyrektorzy szkół podstawowych, a nawet rzecznik praw ucznia.

Zdanie gości jednoznaczne: sesja przybliżyła konkretne problemy wykładania poszczególnych przedmiotów, co pozwoli ukierunkować dalszą działalność.

Po powrocie do Gdańska uczestnicy sesji mają zamiar szczegółowo omówić rezultaty wyjazdu i przedstawić je na jednym z posiedzeń Rady Miejskiej. Już w trakcie pobytu zrodziły

się pomysły, by na bazie szkoły im. Jana Pawła II utworzyć placówkę ćwiczeń dla studentów polonistyki Uniwersytetu Pedagogicznego. O tym też była mowa na spotkaniu z kierownikiem Katedry Polonistyki Marią Niedźwiecką. Zaofiarowano tygodniowe zajęcia w Instytucie Krzańczenia Nauczycieli na temat „Pomoc dzieciom ze specjalnymi trudnościami w nauce czytania i pisania”. Podczas praktyk studentów polonistyki w szkołach możliwy będzie przyjazd kuratorów z CEN. W tych samych dniach wysłano do Wilna ciężarówkę z hurtowni książek metodycznych.

Goście Macierzy Szkolnej zostali przyjęci przez wicemera m. Wilna oraz kierownika wydziału oświaty. Na obydwu spotkaniach szła rzeczowa rozmowa o konkretnej pomocy dla szkolnictwa na Litwie. Przeprowadzono szereg spotkań, wyjazdów w teren, zajęć w Instytucie Kształcenia Nauczycieli i poszczególnych szkołach. Taka rzeczowa pomoc dla naszego szkolnictwa jest nadzwyczaj cenna.

Czesława Paczkowska

Instytucje wspierające rozwój gospodarczy zaczęły odstępować od działań, których partnerami były wyłącznie rządy, na rzecz organizacji pozarządowych

Biedę przezwycięża się przez tworzenie w kraju coraz większej liczby coraz bardziej produktywnych miejsc pracy. Taki proces zasługuje w pełni na miano rozwoju gospodarczego. Uruchamia się go, wprowadzając zestaw fundamentów. Otóż zarobkowa działalność gospodarcza musi być skupiona głównie w rękach prywatnych i podlegać konkurencji, stwarzając bodźce, które najbardziej sprzyjają podejmowaniu trafnych decyzji i ich sprawniej realizacji. Ceny powinny być wolne, aby móc określić, ile co naprawdę kosztuje. Kraj musi być zorientowany na świat, gdyż może wtedy najlepiej wykorzystywać swoje naturalne atuty. Jeśli jest początkowo biedny, to rozwija gałęzie pracochłonne i daje w ten sposób zatrudnienie wielu ludziom. Japonia zaczynała od eksportu tanich tekstyliów. Kapitał powinien być - poprzez wymaganą stopę procentową - odpowiednio wysoko wyceniony. Jest on bowiem wtedy oszczędnie wykorzystywany na finansowanie wielu mniejszych, ale rentownych projektów, a nie przeznaczany na kilka wielkich, spektakularnych, lecz często wątpliwych przedsięwzięć.

Bez tych i innych fundamentów nie sposób szybko wyrwać kraju z zacołania. Ale poprawę sytuacji ludzi biednych można dodatkowo przyspieszyć przez działanie specjalnych instytucji. Nie mają one nic wspólnego z rozmaitymi odciwkowymi interwencjami państwa, np. polityką rolną czy przemysłową. Takie interwencje, wykonywane przez państwowy aparat urzędniczy podległy wpływom rozmaitych grup nacisku, prowadzą najczęściej do marnowania społecznych pieniędzy, a więc opóźniają proces wychodzenia z biedy. Instytucje te nie zajmują się też rozdaniem socjalnych zasiłków, które - choć niekiedy nieuchronne - to jednak same przez się nie dają ludziom możliwości wychodzenia z biedy, a często - tworząc swoisty efekt uzależnienia - biedę utrwalają. Instytucje, o których mowa, specjalizują się w udzielaniu kredytów inwestycyjnych ludziom ubogim po to, aby przez działalność przedsiębiorczą, na własne ryzyko i rachunek, mogli oni podnieść poziom życia własny i swojej rodziny. Można je więc nazwać bankami dla biednych. Realizują one w praktyce ideę, aby ludziom dawać wędkę, a nie rybę.

W 1971 r. Bangladesz, jeden z najbiedniejszych krajów świata, uzyskał niepodległość i dr Muhammad Yunus zrezygnował z pracy uniwersyteckiej w Stanach Zjednoczonych, żeby zająć się nauczaniem ekonomii w swym ojczystym kraju. Jego uniwersytet w Chittagong jest położony wśród wioski, co mu dało możliwość obserwacji życia biednych na wsi, czyli najbiedniejszych z biednych: takich, których stać tylko na jeden posiłek dziennie oraz na jeden zestaw odzieży i którzy żyją w chatkach zalewanych przez monsunowe deszcze. Jak pomóc tak rozpaczliwie biednym ludziom? - zastanawiał się profesor Yunus. Historia, jaką usłyszał od jednej z wiejskich kobiet, nasunęła mu pomysł rozwiązania. Kobieta ta zajmowała się wyplataniem bambusowych stołków i była tak biedna, że nie mogła sama sfinansować zakupu surowca. Pożyczyła więc pieniądze od kupca, któremu musiała potem sprzedawać stołki, a ten dawał jej tak niską cenę, że po potrąceniu pożyczki bardzo niewiele zostawało na opłacenie jej pracy. Gdyby otrzymała kredyt z innego źródła, to miałaby swobodę wyboru nabywców swoich wyrobów i mogłaby uzyskać wyższą cenę. Wędrówka po wiosce pokazała, że w takiej sytuacji były 42 osoby, które potrzebowały łącznie tylko 30 USD, aby się z niej wyrwać. Dr Yunus rozdzielił tę sumę jako pożyczkę pomiędzy owe osoby. Rychło jednak usłyszeliśmy, że jest to kropla w morzu potrzeb i że taką działalnością powinien zajmować się bank. Urzednicy bankowi zwrócili jednak uwagę - ze swego punktu widzenia zresztą słuszną - że przy tak mikroskopijnych pożyczkach koszty operacyjne będą większe od kwoty pożyczki, a ponadto pożyczkobiorcy nie są w stanie zaofiarować bankowi żadnego zastawu na wypadek niezdolności do spłaty kredytu. Należało więc znaleźć gwaranta, który wzięłby na siebie za to odpowiedzialność. Dr Yunus podjął się tej roli. Ku zaskoczeniu bankierów pożyczki zostały spłacone, a dzięki nim działalność mogła się rozszerzyć na cały dystrykt. Mimo to banki nadal nie chciały się zająć tego typu działalnością kredytową. To doprowadziło Yunusa do decyzji, aby samemu założyć bank, który pożyczalby tylko biednym. W ten sposób w 1983 r. powstał w Bangladeszu bank Grameen - jeden z większych współczesnych wynalazków instytucjonalnych. Pokazuje on, że wynalazki nie są wyłącznie domeną techniki materialnej, ale występują też w sferze niematerialnej, przyjmując postać nowych reguł organizowania zbiorowych działań ludu. Podobny charakter miały zresztą niektóre wcześniejsze wynalazki instytucjonalne, np. spółdzielczość bankowa, kasy zapomogowo-pożyczkowe itp.

W 1991 r. bank Grameen miał milion pożyczkobiorców i działał w 23 tys. spośród 68 tys. wsi w Bangladeszu. Pożyczkobiorcy są jednocześnie udziałowcami banku, nabywając po jednej jego akcji w cenie trzech dolarów. 92 proc. klientów to kobiety. Średnia wielkość

pożyczki wynosiła 75 USD, a maksymalna - 180 USD. Współczynnik zwrotu kredytu jest niezwykle wysoki - wynosi 98 proc.! Współczynnik ten dla oficjalnych, popieranych przez państwo kredytów rolnych, trafiających głównie do bogatszych chłopów, wynosi w Bangladeszu tylko 30 proc. A klienci banku Grameen płacą przy tym odsetki w wysokości 16 proc., znacznie więcej niż wynosi inflacja. Jak podkreśla jego twórca, to bank Grameen jest realnym bankiem, inne przypominają instytucje dobroczynne dla bogatych. Myślę, że w sferze kredytu rolnego dotyczy to nie tylko Bangladeszu.

Za tym niezwykłym sukcesem i rozwojem banku Grameen kryje się spłot dwóch czynników: szczególne siły motywacji, związane z rozdaniem pożyczkobiorców oraz specjalny układ organizacji i bodźców, stosowany przez bank. Jego klientami są - jak powiedziałem - wyłącznie

BANKI DLA BIEDNYCH

Leszek Balcerowicz



ludzie bardzo biedni, pomijani przez konwencjonalny system bankowy. Pożyczki z banku Grameen są więc dla nich jedyną szansą na poprawę niezwykle trudnych warunków życia, a takiej się nie lekceważy. Sam fakt uzyskania pożyczki uruchamia potężne siły podwyższenia samooceny i siły nadziei. Dodatkowy czynnik motywacyjny wynika z faktu, że wśród pożyczkobiorców przeważają kobiety. Okazują się one w tej roli - i to nie tylko w Bangladeszu - przeciętnie bardziej odpowiedzialne niż mężczyźni. Pieniądze pożyczane kobietom przysięgają biednym rodzinom, przede wszystkim dzieciom, więcej korzyści niż pieniądze pożyczane mężczyznom.

Te specjalne siły motywacji niewiele by jednak dały, gdyby nie specjalny układ organizacji i bodźców stosowany w banku Grameen. Biedna osoba, która zwraca się o kredyt, może go otrzymać tylko w takim wypadku, jeżeli wcześniej utworzy grupę pięciu potencjalnych kredytobiorców w podobnej sytuacji. Potem następuje faza szczegółowego przedyskutowania zasad udzielonego kredytu. Przewidują one m.in., że spośród utworzonej piątki pożyczkę otrzymują najpierw dwie osoby, a szansa pozostałych na uzyskanie kredytu zależy od jego spłaty przez pierwszą dwójkę. W ten sposób uruchamia się czynnik kolektywnej presji i nadzoru nad właściwym wykorzystaniem pożyczki, ale też i pomocy w razie trudności. Wykorzystywanie tych spontanicznych sił obniża koszty administracyjne banku. Jednakże wydatkowanie kredytu podlega również ścisłemu nadzorowi przez jego przedstawicieli. Jeśli weźmie się pod uwagę także rygorystyczne egzekwowanie zasad spłaty i wysokie odsetki, to okaże się, że bank Grameen działa na zasadzie dużej dyscypliny. Ilustruje to ogólniejszą tezę, że prawdziwe pomaganie ludziom biednym ma niewiele wspólnego z tanim sentymentalizmem. Tani sentymentalizm do-

prowadziłby do niespłacania pożyczek i w efekcie dalszym kręgom biednych nie można by podawać wędki.

Zasadą działania banku Grameen jest również to, że przychodzi on do ludzi, a nie - ludzie do niego. Przedstawiciele banku wędrują po wioskach, dyskutują i podejmują decyzje wraz z pożyczkobiorcami zorganizowanymi w piątki oraz w ogólnowiejskie zgrupowania. Pomaga to przełamywać dystans między bankami a ludźmi, a także tworzy we wsi zorganizowaną siłę na rzecz zmian kulturowych, ułatwiających biednym rodzinom poprawę życia. Tak np. dla rodzin w Bangladeszu klęską jest tradycja nakazująca fundowanie dużego posagu córką jako warunku ich zamążpójścia. Zgrupowania pożyczkobiorców skupiające głównie matki podjęły w niektórych wypadkach prawdziwie rewolucyjną decyzję, że nie będzie się fundować i żądać posagów.

W ostatnich kilku latach pojawiły się próby naśladowania banku Grameen w środowiskach ubogich, ale w krajach bogatszych niż Bangladesz: m.in. w Malezji, na Filipinach, w Indonezji, a nawet - w Stanach Zjednoczonych. Wszędzie osiągnęto bardzo wysoki współczynnik zwrotu kredytów - na poziomie 99-100 proc. Wszędzie był on zdecydowanie wyższy niż spłacalność konwencjonalnych kredytów rolnych, które trafiają do znacznie bogatszych ludzi. U podłoża tego sukcesu leży, jak się sądzi, przestrzeganie pewnego zestawu warunków, które można nazwać uogólnionym kodeksem Grameen. Kodeks ten obejmuje m.in. wyłączną koncentrację banku na ludziach biednych, priorytet dla kobiet, mechanizm grupowej odpowiedzialności, ale i pomocy w ramach grupy, ścisłą dyscyplinę i nadzór, staranne kształcenie personelu banku, powiązanie działalności bankowej z szerszymi znaniami społecznymi, które ułatwiają dobre wykorzystanie pożyczek, popieranie indywidualnego oszczędzania wśród klientów - mimo ich niskiego standardu życia. U podłoża tego wszystkiego leży zasada mądrego głębokiego współczucia, ale nie - taniej filantropii.

Naruszenie tych zasad naraża całe przedsięwzięcie na klęskę. Szczególnym niebezpieczeństwem jest upolitycznienie, tzn. uczynienie zeń politycznego spektaklu dla zwiększenia popularności władz i pojedynczych polityków. O udzieleniu kredytu zaczynają wówczas decydować czynniki polityczne i znajomości, a dyscyplina spłat spada. Innymi słowy, pojawia się zjawisko politycznego patrona i jego klientów, nagradzanych pożyczkami za udzielone mu poparcie. Rządy powinny więc sprzyjać samoradnemu tworzeniu inicjatyw typu Grameen, tworząc dla nich odpowiednie warunki prawne oraz klimat, ale nie powinny nimi bezpośrednio kierować.

Inną przyczyną jest brak odpowiedniej presji i pomocy w wykorzystaniu kredytu. Prowadzi to również do niskiej dyscypliny spłat i fiaska całego przedsięwzięcia. Taki los spotkał wiele nieprzemyślanych inicjatyw polegających na udzieleniu pożyczek inwestycyjnych osobom bezrobotnym. Jak zwykle więc nie wystarczą dobre intencje, a potrzeba chłodnego namysłu.

Bank Grameen i jego imitacje są jedynie fragmentem szerszej tendencji, jaka zachodzi w ostatnich latach na świecie w dziedzinie technik i praktyki uruchamiania rozwoju gospodarczego wśród najuboższych warstw społeczeństwa. Polega ona na przesunięciu uwagi od państwa i związanego z nim sektora publicznego ku tzw. sektorowi nieformalnemu, obejmującemu w krajach Trzeciego Świata setki tysięcy mikroprzedsiębiorstw: od ulicznego sprzedawcy po jednoosobowe firmy odzieżowe. Sektor ten daje w wielu krajach do połowy dochodu narodowego, a szczególną rolę odgrywają w nim kobiety. To z kolei prowadzi do skupienia większej uwagi właśnie na gospodarczej roli kobiet. W wielu krajach Trzeciego Świata wykonują one większość pracy. Tak np. badania życia wiejskiego w Kamerunie pokazały, że kobiety pracują przeciętnie 64 godziny na tydzień, a mężczyźni - 32 godziny. Na Wybrzeżu Kości Słoniowej kobiety, na które przypada większość działalności rolniczej, okazały się zdecydowanie bardziej otwarte na nowe metody upraw niż mężczyźni.

W związku z tymi tendencjami organizacje wspierające rozwój gospodarczy, np. Bank Światowy, ale także wielkie międzynarodowe fundacje zaczęły w ostatnich latach odstępować od działań, w których partnerami były wyłącznie rządy, na rzecz przekazywania funduszy za pośrednictwem lokalnych organizacji pozarządowych mających często charakter banków dla biednych, działających w przeważającym stopniu wśród kobiet. Od wielkich projektów publicznych do dużych projektów prywatnych, od państwa jako głównego pośrednika do społecznych organów pozarządowych, od mężczyzn do kobiet jako pożyczkobiorców - takie zarysowują się przesunięcia. Powiązania między nimi nie powinny dziwić. W końcu państwo jest dotychczas bardzo męską instytucją, a mężczyźni lubią na ogół spektakularne przedsięwzięcia.

(„Wprost”)

Fot. Bronisława Kondratowicz

LITWA - POLSKA

My i nasi sąsiedzi

pod takim hasłem Departament Statystyki RL i Główny Urząd Statystyczny RP po ponad rok trwających przygotowaniach przeprowadzają sondaż socjologiczny. Na Litwie dokonano go w dniach 1-10 października, w Polsce wywiad planowany jest na 17-28 października br.

Polacy na Litwie i Litwini w Polsce odpowiadają na identyczne pytania dotyczące stosunków między tymi narodowościami, problemów natury społecznej. Sondaż obejmuje 2 tys. Polaków zamieszkanych w Wilnie, Trokach, Solecznikach, w rejonach wokół tych miast, jak też w święciańskim i małackim. Tyluż Litwinów w województwach wschodnich odpowie na pytania w Polsce.

Pierwsze tego rodzaju przedsięwzięcie pozwoli określić kondycję naszych mniejszości. Do organizacji międzynarodowych napływają bowiem skargi, zaś jak na razie statystyka nie potrafi do nich się ustosunkować. Ponad 50 osób, wśród nich prócz pracowników Departamentu Statystyki, studentów i nauczycieli, przyczyniło się do przeprowadzenia na Litwie tego sondażu. Jego wyniki zostaną opracowane i przekazane rządowi na początku przyszłego roku.

Oferty spółdzielni inwalidzkich

W dniach 4-6 października w Wilnie odbyła się wystawa, zorganizowana przez Krajową Izbę Gospodarczo-Rehabilitacyjną z Polski. Na 12 stoiskach przedstawiono oferty spółdzielni inwalidzkich z różnych województw. Wytworzone przez niepełnosprawnych artykuły gospodarstwa domowego, buty i odzież, towary elektrotechniczne, wyroby chemiczne i z tworzyw sztucznych zachwycają jakością wykonania. Szkoda, że o wystawie mało było informacji, gdyż ekspozycję co najmniej z dwóch powodów musiałoby zwiedzić jak najwięcej ludzi: przede wszystkim jest to przykład możliwości niepełnosprawnych, o których u nas, szczególnie teraz, się zapomina na rynku pracy, i po drugie - wystawa była szansą do zawarcia korzystnych umów z partnerami polskimi.

Posłowie litewscy w Polsce

Delegacją kierowali Vytautas Plečkaitis, następnie wiceprzewodniczący Sejmu RL Juozas Bernatoniš. Parlamentarzyści w ciągu tygodnia odwiedzili województwa - toruńskie, gdańskie i suwalskie, gdzie w Puńsku i Sejnach spotkali się z Litwinami zamieszkałymi w Polsce. Celem wizyty było nawiązanie ścisłych kontaktów, przyczynienie się do przezwyciężenia dotychczasowych stereotypów przeszłości.

Współpraca w dziedzinie kultury

Na spotkaniu wice ministrów kultury pięciu państw, przebiegającym pod hasłem „Kontakty kulturalne - mostem między narodami” w Suwałkach Litwę reprezentował jej ambasador w Polsce Antanas Valionis. Przybyły też delegacje z Białorusi, Rosji i Ukrainy. W ciągu dwóch dni omówiono kalendarz międzynarodowych imprez kulturalnych.

W tym czasie w Białymstoku Litwinka Neda Malūnavičiūtė została jedną z lauratek III Międzynarodowego Festiwalu Piosenki „Białostockie Małwy '94”, na którym o laury pierwszeństwa ubiegało się 23 wykonawców z tychże krajów.

Współpraca muzeów i specjalistów

Państwowe Muzeum Archeologiczne (PMA) w Warszawie nawiązało bliską współpracę z Litewskim Muzeum Narodowym. Dużym powodzeniem cieszyła się w PMA wystawa „Starożytności litewskie”, wkrótce zaprezentuje się ekspozycja „Dawne stolice Litwy”, na której przedstawione będą wyniki badań archeologicznych w Trokach, Kiernowie i Wilnie. Na Litwie natomiast można będzie zapoznać się z wystawą „Pradzieje Warszawy”.

Współpraca obejmuje nie tylko wymianę wystaw, ale i różne spotkania, wspólne publikacje, staże. Właśnie w Biskupinie z pracą archeologów polskich mają zapoznać się specjaliści z Litwy. Interesuje ich również dorobek polskich konserwatorów w dziedzinie konserwacji zabytków.

Słownik Polsko-Litewski

„Lenkų-Lietuvių kalbų žodynas - Słownik Polsko-Litewski” ukazał się w nakładzie 6 tys. egzemplarzy w Wilnie. Edycja zawiera ok. 70 tys. haseł i zmiany, jakie powstały, szczególnie w nazewnictwie państw i miejscowości po uzyskaniu niepodległości. Autorką opracowania jest Valeria Vaitkevičiūtė, zaś wydawcą - oficyna „Encyklopedia”. Nakład wcześniejszego takiego słownika, który ukazał się w roku 1979, został wyczerpany.

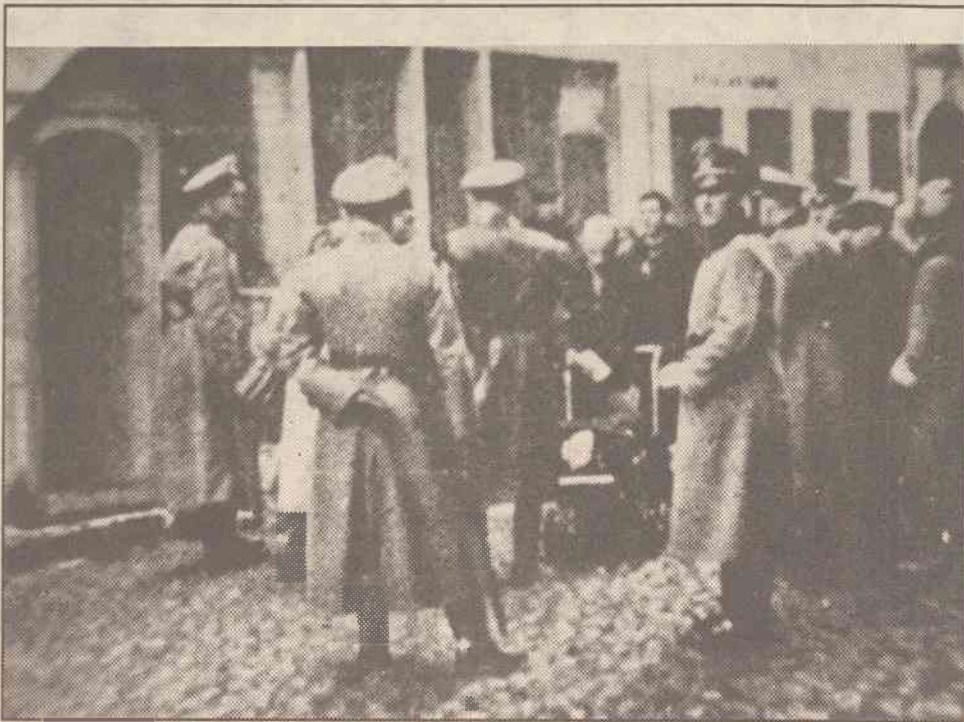
Opr. W.M.

ZNAD WILII
1994.10.18

3

W Getcie Wileńskim - w rocznicę holocaustu

Została rozpacz i pamięć



Hitlerowcy przy bramie Getta Wileńskiego podczas „akcji” wywożenia Żydów do Ponar.



Zburzona ul. Niemiecka i dzielnica starego getta po wojnie.

Z dziennika W.Sakowicza

2/IX - wtorek. Wielki deszcz, chłód, chmury. Godz. 7 rano, jadę do Pirczupki. Po szosie strategiczną (drogą - uw.red.)... jedzie samochód osobowy, za nim dwie ciężarówki z Żydami... W pół godziny później na szosie długi wąż ludzi - dosłownie od przejazdu do kościołka 2 km (na pewno). Przez przejazd przechodzili biegiem, 15 minut! Było, jak się okazało 4000... same kobiety, dużo niemowląt. Gdy wchodzili na drogę, do lasu, zrozumieli co ich czeka i krzyżeli „ratujcie”...

Strzelano 80 szaulisów, pilnowało dokoła płotu 100 szaulisów. Strzelali pijani... Strasznie katowali mężczyzn, kobiety. Do mężczyzn strzelali osobno, kobiety rozbierno do bielizny...

Strzelano w ten sposób, że kolejna partia stawała już na zabitych. Chodzili i chodzili po trupach! Zasypany od razu na drugi dzień. Dużo było rannych. Jedna uciekła do Dolnej. Miała przestreloną rękę. Koło siebie w rowie widziała zabitych dwoje swych dzieci, a w innej jamie zginął jej mąż.

Handel 3 i 4/IX na damskie ubrania na catego! Na drugi dzień znaleziono w lesie koło jamy bawiące się w piasku małe dziecko, wrzucono do jamy i zastrzelono je (Jankowski - opowiedział R.M.). W innym wypadku oderwano od piersi karmione niemowlę i zastrzelono... Strzelanina trwała cały dzień, po której szauliści nadal pili. Pili na drugi dzień.

W.Sakowicz - polski dziennikarz, mieszkał w Ponarach. Jego domek z ogródkiem stał obok samego lasu, gdzie w jamach rozstrzeliwano ludzi. Poczynając od dnia 11 lipca 1941 r., gdy po raz pierwszy niemieccy i litewscy zbirówie masowo mordowali niewinnych mężczyzn żydowskich, Sakowicz prowadził dziennik - przez 2 lata i kilka miesięcy. Kartki papieru wkładał do butelek, które zakopał w ogrodzie. Nie wrócił po swój straszny dziennik. Zginął chyba w końcu wojny. Papierki znaleziono, została odtworzona straszna historia okrutnych masowych morderstw w Ponarach, gdzie rozstrzelano ponad 100 tys. ludzi, z tego 70 tys. Żydów.

(Centralne Archiwum Państwowe Litwy)

Szlachetna postawa

Jadwiga Dudzicz, jedna z działaczek polskiego ruchu harcerskiego, jeszcze przed wybuchem wojny wraz ze swą koleżanką Ireną Adamowicz była zbliżona do ruchu „Haszomer ha-cais” (Żydowskie Harcerze - R.M.). W dniach, gdy większość „przyjaciół” zerwało swe stosunki ze starymi towarzyszami, okazując obojętność, a czasem wrogość niczym nie przykrytą, Jadwiga zachowała wierność wobec nas i starała się pomóc. Dzięki niej nawiązaliśmy kontakt z klasztorem żeńskim pod Wilnem. W klasztorze mieszkało 9 siostr-benedyktyn.

...Ich przeorysza, człowiek nadzwyczaj szlachetny, rozumiejąc, że ryzykuje śmiercią, dała zezwolenie schować w klasztorze kilku naszych towarzyszy, którym groziło niebezpieczeństwo. Tak w klasztorze wśród 9 męźnych pobożnych kobiet ukryto się 17 Żydów...

Cichy klasztor, stojący samotnie między Wilnem i Wilejką, stał się w te krwawe dni jedynym miejscem na Litwie, gdzie panowały braterstwo i człowieczeństwo. Później, gdy w okolicy zrobiło się niespokojnie i miejscowi chłopcy zaczęli gadać, że w klasztorze benedyktyn chowają się Żydzi, przeorysza przebrała naszych kolegów w ubiór mniszek i wyprowadziła ich do pracy w polu, gdzie pracowali na oczach okolicznych chłopów.

(R.Korczak. Plamja nad piepłom. Jerozolima. Bibl.-Alia, 1977)



Jadwiga Dudzicz - polska harcerka. Zginęła jako goniec Wileńskiej Organizacji Podziemnej.

Dzień likwidacji getta wileńskiego jest uważany na Litwie za dzień holocaustu - katastrofy Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Niebywałe w dziejach ludzkości okrucieństwa reżimu hitlerowskiego spowodowały prawie całkowitą zagładę Żydów w naszym kraju i na całym okupowanym terytorium.

Jestem jedną z nielicznych przedstawicieli tego narodu, którym udało się zostać przy życiu wbrew wszystkim okolicznościom.

W 1939 r. ukończyłam polskie gimnazjum im. E.Orzeszkowej w Wilnie. Marzyłam o podróżach, studiach, życie wydawało się pięknym i nieskończenie długim. W kilka miesięcy później Niemcy napadli na Polskę, świat runął w przepaść. Lecz nie był to jeszcze koniec. Przeżyłam rok władzy smetonowskiej, drugi - władzy radzieckiej. Studiowałam na uniwersytecie, mało myślałam o wojnie na Zachodzie.

Właśnie zdawałam egzaminy za pierwszy rok i byłam całkowicie pochłonięta trudnościami sesji, gdy 22 czerwca 1941 r. przybiegła moja przyjaciółka Irka ze straszną wiadomością: Niemcy napadli na Związek Radziecki. „Teraz to już koniec” - myślałam nie opuszczając ani na chwilę - gdy stałam w kolejce po chleb, gdy chowaliśmy się do piwnicy, gdy paliliśmy dokumenty. 2 dni stałej grozy przeszły prędko. 24 czerwca w nocy na placu Łukiskim zobaczyłam niemieckie czołgi. Ta noc dla mnie, dla mojej rodziny, dla wszystkich Żydów trwała 3 lata.

Chowaliśmy się u znajomych Polaków. Ludzie z motochu wrywali się do domów żydowskich, grabili, bili, rzucali obelgami, znęcali się. Wkrótce zaczęły się łapanki. Brano mężczyzn - „do pracy” - w dzień i w nocy, z mieszkań i na ulicy, nie było miejsca, gdzie się schować. Nikt z nich nie wrócił. Po wojnie znaleziono spis pierwszych 229 zabitych na Ponarach. Później spisów już nikt nie robił - bo i po co, przecież i tak wszystkich wymordują? W ten sposób zginęło ponad 8 tys. mężczyzn. Potem były pogromy na ul. Nowogrodzkiej, Szpitalnej; zamordowano wielu działaczy kultury, w tym wieloletniego członka Rady Żydowskiej, 85-letniego doktora J.Wygodzkiego.

Nie mieliśmy spokojnego dnia - ciągły strach o ojca, brata, przyjaciół. Żydzi musieli nosić żółte gwiazdy na ubraniu, nie mieli prawa chodzić na chodniku, na centralnych ulicach, wyrzucano ich z kolejek do sklepów. Musieli zapłacić Niemcom 5 mln rubli kontrybucji, sprzedawali wszystko by zebrać tę sumę.

W końcu sierpnia spędziłam kilka dni w Irki na Trockiej. W nocy 31-go usłyszeliśmy wielki tupot: to tłum ludzi był gnany przez policję - kobiety z dziećmi na ręku, mężczyźni niosący tłumoki, zawinięte w prześcieradła; starcy, chorzy. Dokąd ich prowadzą? Może i nas zaraz wypędzą? Nie spaliśmy do świtu. Z rana przybiegli moi ojciec: „Dzięki Bogu, jesteście na miejscu! Wszystkich Żydów z dzielnicy żydowskiej wygnano do getta”.

Lecz nie do getta wyprowadzono ten tłum. 5 tys. ludzi zapędzono do więzienia na Łukiszki, a następnie rozstrzelano w dołach ponarskich. Tylko myśmy w mieście nic o tym nie wiedzieli. W dzień kaźni, 2 września wieczorem kilka kobiet rannych uciekło z dołów i chłopcy okoliczni przywieźli je w sianie do szpitala żydowskiego, gdzie mój ojciec pracował jako lekarz. Wrócił do domu błąd, jak kreda: „Opowiadały, że wszystkich zabito. Żywe dzieci wrzucono do dołów lub rozbijano im głowy o pnie drzew. Przecież to niemożliwe. To byli niewinni ludzie!”

Nikt nie wierzył. Ustalono, że kobiety były w stanie psychozy.

Po 4 dniach władze przygotowały dwa getta: wyjścia z ulic zamknięto ścianami, okna wychodzące na ulice zabito deskami i zamalowano. 6 września wszyscy pozostali przy życiu Żydzi Wilna, bez uprzedzenia zostali wyprowadzeni do getta przez wąskie bramy. Musieli porzucić swój dobytek, swe domy. Do ciasnych, brudnych mieszkań wsiedlano setki ludzi, po 4 rodziny do

pokoju. Nie było jedzenia, tylko mały kawałek chleba, śliskiego jak glina. Ci, co byli wyprowadzani w brygadach do pracy na mieście, mieli możliwość coś kupić lub wymienić. Przy bramie stała warta - policja litewska, często przyjeżdżali Niemcy. Ludzi rewidowano, bito, rozbierano do naga, wysyłano do więzienia w getcie. Stąd zabierano ich do Ponar. Tak zginęła młoda śpiewaczka L.Lewicka - „słowik getta”: chciała wnieść do getta trochę grochu.

Jednocześnie odbywały się „akcje”. Najstraszniejsze w październiku i listopadzie 1941 r. Trzy tysiące fachowców, pracujących u Niemców, otrzymało „żółte zaświadczenie”, które dawało chwilową pewność przeżycia im i ich rodzinom. Te 12 tysięcy Żydów wyprowadzono na miejsce pracy, resztę wyłapano i zamordowano. W getcie zostało 15 tys. właśnie owych fachowców oraz tych, którym udało się ukryć. Ja zostałam jako córka mego ojca - lekarza.

W getcie działała podziemna organizacja FPO, która organizowała powstanie. „Nie pójdziemy jak owce na śmierć!” - pisaliśmy w ulotkach. Bohaterscy chłopcy szmuglowali do getta broń: części rewolwerów, karabinów maszynowych, kule, granaty. 16-letniego Z.Tiktina złapano, gdy kradł kule, których nam brakowało. Katowano go, nie wydał nikogo, zginął jak bohater. Karabiny i inną „długą broń” dostarczano do getta przez kanalizację - akcją tą kierował Sz.Kapliński. 8 lipca 1942 r. chłopcy z getta wysadzili w powietrze pociąg z amunicją. Trwały akcje sabotażu w fabrykach i na kolei. Współdziałaliśmy z organizacjami podziemnymi w mieście. Na wiosnę 1943 r. został stworzony antyfaszystowski komitet, w skład którego weszły także organizacje polska i litewska. W lecie tego roku gestapo aresztowało kilka osób, został wydany komendant FPO - J.Wittenberg.

W sierpniu 1943 r. zaczęły się nowe łapanki. Żydów wywożono do obozów w Estonii. Gdy 1 września Niemcy weszli do getta, zostali spotkani strzałami bojowników FPO. Wrogowie zburzyli barykadę, wysadzili w powietrze domy przy ul. Straszuna (obecnie Zemaitijos). W ciągu 4 dni około 8 tys. Żydów wywieziono do Estonii.

Nie będąc w stanie rozpocząć walki zbrojną w getcie, FPO zaczęła wyprowadzać młodzież do lasów. Z jedną z tych grup udałam się do lasów na Białorusi, stamtąd do Puszczy Rudnickiej.

23 września getto zostało otoczone przez Niemców - rozpoczęła się likwidacja. Około 150 członkom FPO udało się wyjść z bronią przez kanały do miasta, a następnie do lasów, gdzie zostały utworzone oddziały partyzantów żydowskich.

Resztę ludności wyprowadzono z getta do Klasztoru Misionarzy; podczas selekcji młodzież wysłano do obozów w Estonii i na Łotwie, a starców, kobiety z dziećmi - do obozów zagłady w Polsce.

Po likwidacji getta Niemcy, chcąc zatrzeć ślady morderstw, przysłali do Ponar brygadę więźniów, którzy musieli wykopywać trupy i palić je. W kwietniu 1944 r. 12 więźniom udało się zbiec do partyzantki. Byli żywymi świadkami zbrodni.

W wyniku wielkiej ofensywy radzieckiej Wilno było wyzwolone 13 lipca 1944 r. Partyzanci żydowscy brali również udział w walkach o wyzwolenie rodzinnego miasta. Gdy weszłam tego dnia do Wilna, ujrzałam straszne widowisko: całe miasto paliło się, centrum, dzielnica żydowska, ul. W.Pohulanka (lewa strona) były zburzone. Góry gruzów, morze ognia, śwąd. Dowiedziałam się, że rodziców i brata Niemcy zdążyli zabić przed 9 dniami. Nie miałam już rodziny, przyjaciół, domu. W takich warunkach rozpoczęłam nowe życie. Została w sercu rozpacz i pamięć o tamtych strasznych czasach.

Rachela Margolis
Państwowe Muzeum Żydowskie
na Litwie



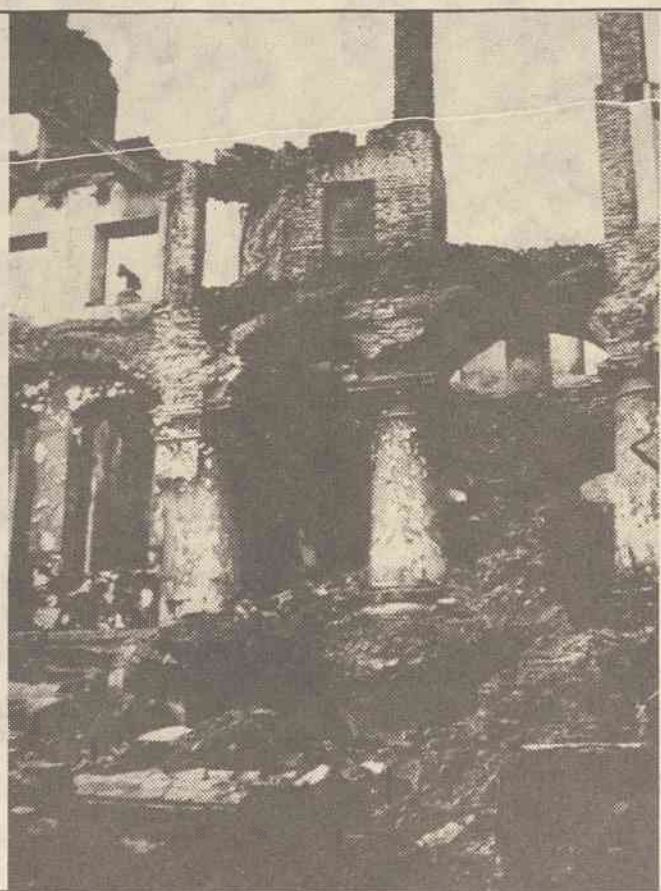
Jan Przewalski - rozstrzelany przez gestapo za działalność antyhitlerowską i za pomoc żydowskiej organizacji podziemnej.

Fot. Archiwum

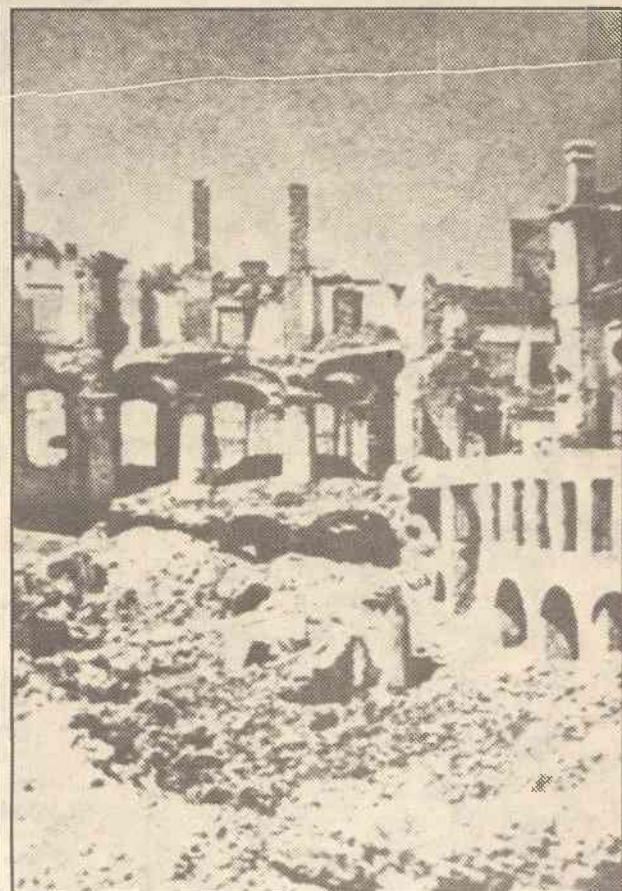
ŚWIADECTWA ZBRODNI I BOHATERSTWA



Wnętrze Wielkiej Synagogi przy ul. Żydowskiej przed wojną.



Ta sama świątynia zburzona w czasie wojny.



Ruiny dzielnicy żydowskiej w Wilnie po wojnie.

Fot. Archiwum

Poza gettem i obozem (fragment)

Mieszkanie państwa Wolskich, pani Maryli i pana Felka, było miejscem, gdzie krzyżowały się drogi różnych ludzi „podejrzanych”, o „niewłaściwym” wyglądzie, rasie, poglądach, działalności. Tam można było przyjść, żeby głębiej odetchnąć, zobaczyć życzliwe twarze, poradzić się, uzyskać pomoc, a także zjeść talerz gorącej zupy. Ile razy u nich byłam, tyle razy zastawałam oczekujących na gości kocioł zupy w ślepej kuchni.

Pani Maryla i pan Felek mieszkali przy Wielkiej Pohulance 16, na ostatnim piętrze. Nad nimi był już tylko strych przez całą okupację nie zamykany. W niedużej odległości od nich mieścił się żydowski instytut naukowy IWO, który okupant skazał na zniszczenie.

Wykonawcami wyroku mieli być sami Żydzi, sprowadzani brygadami roboczymi z getta dla dokonania tego dzieła. Wśród nich znaleźli się ludzie świadomi wartości kulturowej dóbr nagromadzonych w IWO, którzy podjęli trud i ryzyko uratowania choć części tych skarbów. Pomagali im w tym niektórzy Polacy, m.in. państwo Wolscy.

Jak mi opowiadał kiedyś pan Felek, dali oni znać zainteresowanym o możliwości wykorzy-

stania strychu nad nimi. Szansy tej nie pominęto. Któregoś dnia grupa robotników bez „łat” przywoziła na dwukółce dwie skrzynie i umieściła je w nie rzucającym się w oczy miejscu na strychu. Wśród „robotników” byli m.in. Szmek Kaczergiński i prawnik Mietek Zaborowski.

Skrzynie przetrwały na strychu przez całą okupację. Miały też swoją historię, przez jakiś czas służyły za legowisko ukrywającemu się małżeństwu żydowskiemu - znajomym Wolskich. Według relacji pana Felka skrzynie zawierały kartoteki, katalogi, rękopisy i starodruki, a także rzeźbę główki autorstwa Marka M. Antokolskiego.

(Pola Wawer. *Poza gettem i obozem*, Warszawa 1993)

Ci, co nieśli pomoc

W ryzykownej „operacji” przewiezienia Gabajów i Finka do wileńskiego getta, gdzie warunki wydawały się znośne, dopomógł autorce Maryla Abramowicz-Wolska i mąż jej, Feliks Wolski. Spotkanie z nią miało dla mnie smak egzotyki. Po raz pierwszy poznałam jarosza ideowego i antropozofa, człowieka, który niezwykle przywoiła, a zarazem z ogromnym roz-

machem prowadził całą, rzec można, „akcję” pomocy Żydom. W domu ich była istna fabryka pomocy. Wystarczyło tylko przez chwilę pobyć w ich domu, aby dojrzeć nieprawdopodobnie ilości przebywających u nich nielegalnie ludzi. Podeszła ona z wielkim sercem do mojej Heli i „naszych” dzieci. Pierwszy raz spotkałam się z p. Marylą przy sprawie mojej koleżanki ze studiów, Trajewickiej (Szumskiej), Żydówki, której udzieliłam noclegu na kilka nocy, a ona się rozchorowała na tyfus plamisty. Zanosilo się na grubszą chryję. Należało się przeciwieć leczyć, zawieźć do szpitala zakaźnego, gdzie przyjęcia odbywały się pod szczególną kontrolą Gestapo, a ona była w malignie. Skończyło się szczęśliwie dzięki przede wszystkim dr Zofii Świdowej i jej pielęgniarce Helenie Walentyńcowicz, ale też dzięki pomocy wielu innych osób, jak dr Jerzy Orda, Stanisław i Władysław Trylińscy; największą rolę zagrała Maria Rzeuska, chociaż miała wtedy „własne konto” pomocy Żydom mocno obciążone.

(Janina Zagatowa,
Ten jest z ojczyzny mojej.
Polacy z pomocą Żydom 1939 - 1945
Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1969)

Kowno, 1 grudnia 1941 Einsatzkommando 3

5 egzemplarzy, 4 egzemplarz.
Uogólnione dane o egzekucjach przeprowadzonych przez EK 3 do 1 grudnia 1941:

Miasto - Data - Liczba zabitych Żydów
1941.VIII - IX.1 - Wilno - 461
1941.IX.2 - Wilno - 3700 (specjalna akcja, bo Żydzi strzelali do niemieckich żołnierzy)

IX.12 - Wilno - 3334
IX.17 - Wilno - 1267
IX.20 - Niemenczyn - 403
IX.22 - Nowa Wilejka - 1159
IX.24 - Rzesza - 1767
IX.25 - Jaszuny - 575
IX.27 - Łiszyski - 3446
IX.30 - Troki - 1446
X.4 - Wilno - 1983
X.9 - Święciany - 3726
X.16 - Wilno - 1146
X.21 - Wilno - 2367
X.25 - Wilno - 2578
X.27 - Wilno - 1203
X.30 - Wilno - 1533
XI.6 - Wilno - 1341
XI.19 - Wilno - 171
XI.25 - Wilno - 63

Ze sprawozdania o liczbie zabitych Żydów w Wilnie i na Wileńszczyźnie przez Standartenführera SS Karla Jegera, 1 grudnia 1941 r.

(Masinés Žudynės 1941-1944, I d.
Vilnius: Mintis, 1965)

od wewnątrz. Pod wieczór K.Nowicki zaproponował mi, aby dokonać razem z nim przeglądu gmachu uniwersytetu od wewnątrz. Poprzednio dokonywał tego sam lub w towarzystwie swoich kolegów. Pamiętam, jak obeszliśmy cały gmach główny sprawdzając, czy drzwi i okna są pozamykane i czy nie ukrywa się ktoś niepożądany. Przystaliśmy do Biblioteki Centralnej. Stwierdziliśmy pootwierane drzwi na ul. Uniwersytecką. Zabarykadowaliśmy je.

Potrzebne, wprost konieczne były nocne dyżury. I w tym wypadku K.Nowicki zwrócił się do mnie, bym porozumiał się z ludźmi i je ustalił.

Nie szło to tak łatwo. Ludzie byli zmęczeni. Również i ja. Wyznaczeni byli mężczyźni na dwie zmiany - do północy i po północy. Jednej nocy ktoś obudził mnie w schronie i zakomunikował, że druga zmiana nie zgłosiła się na wartę. Obudziłem jakiegoś młodzieńca (niestety, nazwiska nie pamiętam) i udałem się razem z nim na dyżur.

Pamiętam, szliśmy kręcącymi się w ścianie schodami w rogu gmachu na środkowe poddasze głównego gmachu naprzeciwko drzwi kościoła św. Jana. Noc była pogodna. Tylko od czasu do czasu rozrywały się nad miastem szrapnele artylerii radzieckiej, a spadające na dach odłamki mocno nas niepokoiły. Obserwowaliśmy poddasze. Na szczęście, tej nocy nie zaszła potrzeba alarmu, ani gaszenia pożaru. I później nie było tu już pożarów.

(Cdn.)

Kto ocalił Uniwersytet Wileński.

Wspomnienia po 15 latach - nie tylko o ratowaniu w 1944 roku Alma Mater Vilmensis (2)

Ks.dr. Józef Czerniawski

Akcja ratowania przed pożarami

Obrona przeciwlotnicza i przeciwpożarowa od początku czuwała. Rozstawiła warty, przeważnie po dwóch ludzi w gmachu uniwersyteckim i na poddaszu. W pierwszym dniu oblężenia zaczęły padać na dach uniwersytecki fosforowe pociski zapalające. Przypuszczalnie z ręcznych karabinów. Padały one w ciągu dnia, kiedy były widoczne cele. Przeszywały lub rozrywały dachówki, jak to było nad dziekanatem lekarskim - lub blachę, jak nad Salą Śniadeckich. Dziury te były małe, ale widoczne. Prawdopodobnie dach uniwersytecki ostrzeliwali Niemcy okopani na wzgórzach wileńskich lub z pięter wysokich domów i z balkonów. Taka zapalająca kula trafiając w drewniany przedmiot - krokiew, łatę, belkę, wzniesła pożary, które dzięki czujności wart w czas zostały zgaszone. Bodaj w drugim i trzecim dniu oblężenia powstały trzy większe pożary.

Pożar pierwszy. Przez kulę zapalającą została podpalona drewniana galerijka, przylegająca od zewnątrz do Sali Białej Centralnej Biblioteki Uniwersyteckiej, wychodzącej na ul. Uniwersytecką, Plac Napoleona, Dziedziniec Ks.P.Skargi i Dziedziniec Poczobutta. Powstał pożar bez większych trudności udało się zlikwidować.

Pożar drugi. Na drugi, a może i trzeci dzień oblężenia Niemcy podpalili bardzo wiele do-

mów przy ul. Wielkiej, Niemieckiej, Dominikańskiej i Świętojańskiej. Naprzeciwko kościoła św. Jana palił się główny gmach poczty. Paliły się domy nr 6 i 8, przylegające do głównego gmachu uniwersyteckiego. Ogień przerzucił się na dach nad dziekanatem lekarskim. Paliły się drewniane krokiewie i belki. Powstała groźna sytuacja. K.Nowicki zwrócił się wtedy do mnie o rychłą pomoc. Dotychczasowy bowiem zespół przeciwpożarowy nie wystarczał. Chodziło o zmobilizowanie znacznej ilości ludzi do noszenia wody. W schronie uniwersyteckim było dużo ludzi. A woda? W wodociągach jej brak. Dewizja niemiecka SS, przygotowując miasto do obrony, zniszczyła obiekty strategiczne, uszkodziła i miejskie wodociągi. Najbliższa studnia po drugiej stronie ul. Świętojańskiej na dziedzińcu b. Woj.Kom.Pol., a za czasów okupacji Arbeitssamt (urząd pracy). Najbliższy zaś basen z wodą, zbudowany przez Niemców - na Dziedzińcu b. Pałacu Reprezentacyjnego, po drugiej stronie ulicy Uniwersyteckiej.

W domu plebanianym szukali bezpiecznego schronienia na czas oblężenia u powinowatych Dobrzańskich inż. J.Peksza (zmarł w Łodzi) z żoną i Michał Kobylak-Gajewski, dobry znajomy Michała Harackiewicza (kościelnego). Oni zostali zmobilizowanymi jako pierwsi przeze mnie. Biegnę do schronu uniwersyteckiego. Odwołuję się do patriotyzmu: musimy ratować skarbnicę naszej nauki i kultury, dorobek kilkunastu wieków. Zwracam się z apelem tylko do mężczyzn i panien. Wylączę matki i mężatki w

obawie przed nieszczęśliwym wypadkiem. Apel znalazł całkowite zrozumienie. Znalazły się wadra. Niezwłocznie wyruszamy, spieszymy gęsico do studni i basenu po wodę. Inż. J.Peksza z K.Nowickim na dachu. Jest woda. Część mężczyzn pozostaje, by z rąk do rąk podawać wiadra, a reszta śpiesznie i ochoczo donosi wodę. Znalazła się i ręczna pompa strażacka. Dzień był słoneczny. Wkrótce zażegnano ogień, nie ugaszono źródła pożaru. Nadal w domu nr 6 palił się intensywnie wielki zakład fotograficzny... Sprawa ugaszenia nie była łatwa ze względu na łatwopalne materiały.

K.Nowicki i inż. Peksza byli pierwsi na posterunkach. Nie pamiętam, przy którym to apelu mobilizacyjnym kilku mężczyzn okazało się opieszłość. Wtedy użyłem mocnego argumentu: „Czy to nie sabotaż?” Poskutkowało. Ale był to odoobniony wypadek. Jak później się dowiedziałem, przyczyną tej opieszłości było to, że palący się dom z materiałami fotograficznymi nie był własnością uniwersytetu. Jednak i ten pożar w ciągu dnia z wielkim trudem został zlikwidowany. Wprawdzie jeszcze w nocy dopalały się częściowo materiały fotograficzne. W czasie tego pożaru Niemcy ostrzeliwali ludzi na dachu, sporadycznie świsnęły kule karabinowe, szczęśliwie nikogo nie raniąc.

Pożar trzeci. Z palącego się domu przy ul. Świętojańskiej nr 8 ogień przerzucił się na róg dachu Sali Śniadeckich. Pożar w czas zauważono. I w tym wypadku zbiorowy wysiłek okazał się skutecznym. Była obawa podpalenia uniwersytetu

ZNAD WILII
1994.10.18

Elita potrzebna

Był u nas, nad Odrą Krzysztof Teodor Toeplitz, znany dla wielu jako KTT, felietonista od „Kuchni Polskiej”, dziennikarz, redaktor, autor scenariuszy filmowych, ale przede wszystkim radosy inteligent. Zawiązała się dyskusja o elitach. Zebrały się bowiem miejscowe elity i pytają: kto to elita? Dziwne może to pytanie, ale... Ale okazuje się, że trzeba je postawić.

Ongiś było to proste, elitą była szlachta, z kolei jej elitą - arystokracja z dworem królewskim na samym szczycie tejże drabiny. Później, w okresie rozbiorowym, wiodącą rolę ciągle spełniała szlachta, powoli jednak przekształcając się w inteligencję. I ten produkt XIX wieku istnieje do dziś, i ma wielkie zasługi - nie tylko w Polsce czy na Litwie - dla podtrzymania tożsamości kulturowej, dla przeniesienia pewnych wartości istotnych dla ludzkiej godności.

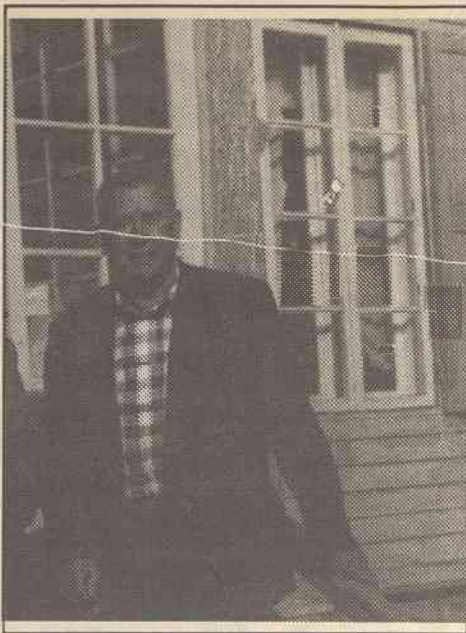
Dziś elita w tradycyjnym znaczeniu jest niewątpliwie potrzebna i na pewno istnieje, być może nie zdając sobie z tego sprawy. Dlaczego? Uległo bowiem poszerzeniu znaczenie tego terminu. Do niedawna jeszcze elita oznaczała - jako się rzekło - grupę osób pochodzenia inteligentnego, a więc uczonych, twórców, duchownych. Już encyklopedia z 1939 r. mówi o *najbardziej wartościowych w obrębie pewnej grupy społecznej*. Czyli każda grupa może mieć swoją elitę. Znakomita uczona, Susan Keller, autorka hasła „elita” w „International Encyclopedie of the Social Science” wyróżnia elity: polityczne, ekonomiczne, wojskowe, dyplomatyczne, naukowe, elity autorytetu moralnego (duchowni, filozofowie, wychowawcy) i elity tworzące w społeczeństwie więzi emocjonalne i psychologiczne (pisarze, gwiazdy filmu i teatru, sportowcy etc.).

Jej definicja mówi, że cechami elit są pewne możliwości kształtowania modelu zachowań społecznych, prestiż, szacunek, autorytet, osiągnięcia. Nie liczą się, jak kiedyś, np. więzy krwi, bogactwo, a raczej umiejętności.

To skomplikowanie różnorodnych cech, przeniesienie niektórych dawnych i wytworzenie się nowych spowodowało, że właśnie na wspomnianym spotkaniu z KTT ludzie teoretycznie lub nawet faktycznie należący do elit, odżegnywali się od tego czy zgoła nie poczuli. Naukowiec z dorobkiem i tytułem mówił: jaka ze mnie elita, kiedy na to spotkanie przyjechałem autobusem miejskim. Inny dyskutant, archiwista, znający dobrze wartość odkrywczych prac badawczych mówi, że jego prestiż jest mierny wobec zarobków nowobogackich. I tak dalej. Wyszło, że główną bolączką osób z zasługami, dorobkiem na różnych polach jest po prostu brak pieniędzy. I to już ich dyskwalifikuje - we własnych oczach - nie poczuwają się do przynależności do elity.

Prawdą jest, że mamy czasy rządów pieniądza, zresztą zawsze był on wszechwładny, lecz zawsze też byli ludzie, którym góry złota nie śniły się po nocach i potrafili się realizować, i dodatkowo dawać wiele z siebie społeczeństwu. Takie też wydaje mi się jest nieustanne posłannictwo wszelkich elit (choć oczywiście wyłączyłbym tu elitę złodziei, czy gangsterów, bo przecież i te środowiska mają swój „top”), zwłaszcza tych, które „pracują głową”, czyli intelektualnych, artystycznych. Nie jest to najlepszy czas dla rozumu, ale musimy się jakoś trzymać w kupie, aby nas nie „zjadły” elity z drugiego końca bieguna wartości, o jakich tu rozmawiamy.

Eugeniusz Kurzawa



- Jest Pan inżynierem, magistrem ekonomii rolnictwa, wreszcie właścicielem kilkunarobkowego gospodarstwa pod Gdańskiem. Skąd więc wziął się jeszcze pomysł na założenie Fundacji niosącej pomoc Polakom na Wschodzie?

- Wszystko rozpoczęło się bardzo prozaicznie od działalności w kole NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Tam to bowiem wyłoniły się dwa pomysły: założenia w ramach koła Związku Producentów Zdrowej Żywności oraz Fundacji „Więź” wspierającej Polaków na terenach byłego Związku Sowieckiego. Myślałem wtedy o wejściu na rynek wschodni z naszą produkcją rolną. W końcu jednak działalność Związku Producentów Zdrowej Żywności stanęła na etapie pieczętki. Natomiast Fundacji „Więź” udało się jakoś okrzepnąć i rozpoczęła ona działalność. Co prawda, w jej ramach nie wysyłamy produktów rolnych na Wschód, ale staramy się w jakiś sposób wzmocnić „ducha przetrwania” naszych rodaków.

- Czy wiele osób było zaangażowanych w tworzenie Fundacji „Więź”? Skąd wzięto środki na jej założenie?

- Próbowałem zainteresować tą ideą kilka osób, ale wszystkie one przeraziły się mojego pomysłu. W rezultacie na starcie pozostałem sam, tworząc jednoosobową radę fundatorów. Jeśli chodzi o środki na działalność Fundacji, to uzyskałem je ze sprzedaży kilku hektarów ziemi pod zabudowę mieszkalną.

- Czy posiada Pan jakieś korzenie „kresowe”, które pobudziły Pana do tworzenia takiej Fundacji?

- Moje korzenie, to są d.kresy, ale zachodnie. Urodziłem się w Gdańsku jeszcze jako Wolnym Mieście, gdzie na podwórku towarzyszy mi moich zabaw byli bardzo często mali Niemcy. Te „kontakty z piaskownicy” przeniosłem po latach na działalność w Fundacji „Więź”. Był to bowiem okres, w którym Niemcy zaczęli interesować się Królewem, jak i całym obwodem kalinogradzkim. Pomyślałem więc, dlaczego nie pomóc także żyjącym na tych terenach dwudziestu tysiącom Polaków. Stąd też początek działalności Fundacji „Więź” wiąże się z Królewem, gdzie bardzo szybko - jako pierwsi podpisaliśmy umowę o współpracy ze Wspólnotą Kultury Polskiej działającej na tym terenie.

- Wasza działalność miała chyba jakiś związek z Polakami zamieszkałymi w bardziej odległych stronach?

- Rozumieliśmy, że najwięcej problemów mają jednak Polacy, żyjący w Kazachstanie. Przed laty nikt nie śmiał jeszcze mówić o ich repatriacji do Polski. Wpadliśmy więc na pomysł, że mogliby oni, wtedy jako obywatele sowieccy, przenieść się do enklawy królewskiej, gdzie jest bardzo dużo niezagospodarowanej ziemi uprawnej, a gdzie o wiele łatwiej można im byłoby pomóc. Jednakże cała operacja pozostała jedynie w sferze naszych marzeń.

- Na jakich kierunkach oprócz enklawy królewskiej działa Fundacja dzisiaj, po dwóch latach od swojego powstania?

- Chyba najmniej widać nas na Ukrainie, gdzie wspomogliśmy jedynie nieznaczną kwotę remontu kościoła św. Aleksandra w Kijowie. Kościół ten służy jako miejsce spotkań Polaków zamieszkujących Ukrainę Wschodnią. Oprócz tego działamy na Białorusi, gdzie wspomogliśmy budowę kościoła polskiego w Onżadowie oraz współsponsorowaliśmy przyjęcie kilku grup dzieci z Białorusi w Trójmieście. Na Litwie zafundowaliśmy m.in. wykupienie mieszkania na siedzibę dla Związku Polaków w Jekabpilsie. Oczywiście, działamy także na Wileńszczyźnie.

- No właśnie, w jaki sposób Fundacja trafiła do Wilna?

- Zupełnie przypadkowo przyjechałem do Wilna z wycieczką. Wiedząc jednak wcześniej z prasy o budowie nowej polskiej szkoły w dzielnicy Justyniszki, pragnąłem na jej budowę przekazać 200 dolarów. Szukając jakiegoś pośrednika w celu przekazania tej drobnej kwoty, natra-

Budować więź pomiędzy rodakami i sąsiadami Rzeczypospolitej!

Z Prezesem Fundacji „Więź” Ronaldem Łanieckim

rozmawia Mariusz Roman

(Specjalnie dla „Znad Wilii”)

fiłem na Panią Teresę Sokołowską z Polskiej Macierzy Szkolnej na Litwie. Potem dowiedziałem się, jakiej pomocy potrzebuje tu polskie szkolnictwo. Korzystając więc ze skromnych środków naszej Fundacji, za pośrednictwem Macierzy przekazaliśmy 10 kolorowych telewizorów oraz 10 magnetowidów, które trafiły do najbardziej potrzebujących polskich szkół. Wyposażyliśmy także w komputery szkołę im. A. Mickiewicza w Wilnie. Pani Teresa odpowiedziała, aby rozłożyć opiekę nad najbardziej ubogimi dziećmi - sierotami z Domu Dziecka na Antokolu. To staramy się w miarę swych skromnych możliwości czynić, przywracając uśmiech maluchów choćby drobną paczką ze słodyczami. Wreszcie przez ostatni rok staraliśmy się ze zmiennym szczęściem wspomagać rozwój „Naszej Gazety”, pisma Związku Polaków na Litwie. Nie tylko pomagając redakcji finansowo, ale także współredagując pismo. Podpowiedziało mi, że byłoby rzeczą dobrą rozprawdzać „Naszą Gazetę” w Polsce. W jakimś sensie nam się to udało. Stworzyliśmy bowiem sieć kolportażu w Trójmieście, Warszawie oraz Krakowie. Gazeta trafia także do innych miast w Polsce. Na dzień dzisiejszy mamy 400 stałych prenumeratorów. Wreszcie w miarę naszych możliwości podrucamy ją także do Królewca.

- Od kilku miesięcy jest Pan także wydawcą a zarazem redaktorem naczelnym pisma „Nasza Gazeta - Więź”. Ta ewidentna zbieżność z tytułem tygodnika Związku Polaków na Litwie, to chyba nie przypadek?

- Oczywiście, jest to efekt świadomego działania. Nawiązując w tytule do tygodnika ZPL-u, chciałem zmanifestować potrzebę budowania więzi pomiędzy narodami byłej Rzeczypospolitej. Ideałem byłoby, gdyby pisma o tym samym tytule ukazały się także na Ukrainie czy Białorusi i to niekoniecznie w wersji polskojęzycznej. Chciałbym, aby te wszystkie pisma wyrażały tę samą ideę i poglądy. Poza tym „Nasza Gazeta - Więź” należy traktować jako formę mutacji gazety wileńskiej w Polsce.

- Jakie są cele działania Fundacji „Więź”?

- W miarę, jak poznawaliśmy realia, doszliśmy do tego, aby wyszukiwać i pomagać najbardziej przedsiębiorczym z naszych rodaków na Wschodzie. Próbowaliśmy więc jak największej liczbie ambitnych ludzi wręczać przystawki „wędkę”, a nie dawać złowionej ryby. Uważam, że tak działa np. nauczyciel informatyki w szkole im. A. Mickiewicza. Na pewno także polski kapłan w Onżadowie, czy wreszcie polski biznesmen, dający pracę innym Polakom na Wileńszczyźnie. Poza tym mamy świadomość, że Polacy nie mogą istnieć w niechęci, z którą niekiedy się stykają. Dlatego kolejnym celem Fundacji „Więź” jest propagowanie wśród narodów, których tak wiele ze sobą łączy, pokojowego współistnienia. Przecież to my - Polacy, Litwini, Białorusini i Ukraińcy przez kilkadziesiąt lat budowaliśmy wspólne państwo. W czasie, gdy Europę wstrząsało morze nienawiści, wojen wyznaniowych i stosów, Rzeczpospolita Obojga Narodów stanowiła swoisty fenomen koegzystencji i toleran-

cji. To tutaj - na Litwie i w Polsce - powstał załączek zjednoczonej Europy Ojczyzn. Tymczasem za wiele animozji między naszymi narodami odpowiedzialni są sąsiedzi: Rosja i Niemcy, którzy na przestrzeni dwóch ostatnich wieków skutecznie manipulowali naszymi nastrojami.

- W czerwcu zaangażował się Pan także w wybory samorządowe, jakie odbyły się ostatnio w Polsce.

- Rzeczywiście, „Solidarność” Rolników Indywidualnych, której jestem przedstawicielem w Gdyni, przystąpiła do Konwencji Gdynińskiej, ugrupowania zrzeszającego prawicę oraz regionalne inicjatywy na terenie naszego miasta. „Nasza Gazeta - Więź” wykonała ogromną akcję propagandową na rzecz tej koalicji. Zaprezentowaliśmy m.in. na naszych łamach wiele sylwetek kandydatów, zwłaszcza tych związanych z działalnością na Wschodzie. Ostatecznie wynik wyborów traktuję za sukces, gdyż wprowadziliśmy jako koalicja do Rady Miasta 7 swoich kandydatów. Natomiast Konwencja Gdynińska przejęła wspólnie ze zwycięzcami wyborów w Gdyni „Samorządność” - UW/ władzę w mieście.

- Stworzył Pan jeszcze w Gdyni swoistą burzę, którą stale zamieszkuje kilku ludzi ze Wschodu.

- Przed rokiem przystosowałem do tego celu jedną z moich posesji. Dzisiaj umownie można ją nazwać bursą Obojga Narodów. Póki co trafiają tam różni doktoranci, studenci czy uczniowie polskiego pochodzenia, pobierający różne praktyki naukowe w Trójmieście. Jest to także miejsce schronienia dla osób trafiających na dłużej do Polski z różnych innych powodów, a przybywających z naszej wschodniej granicy.

- Co sprawiło Panu największą satysfakcję z tej działalności społecznej?

- Przede wszystkim wyróżnienie mnie honorowym członkostwem Związku Polaków na Litwie, jak również Związku Polaków na Łotwie.

- Jakie są plany na przyszłość prezesa Fundacji „Więź”?

- Ostatnio nasza Fundacja stworzyła i zarejestrowała spółkę o charakterze gospodarczym. Ideałem byłoby więc, aby ta spółka zaczęła przynosić dochody, które moglibyśmy spożytkować na nasze cele statutowe, z korzyścią dla naszych wschodnich rodaków. Myślimy w ramach tej spółki m.in. o handlu sprzętem rolniczym. Do polskich gospodarstw ten sprzęt będzie trafiać na zasadzie korzystnego, nieoprocentowanego kredytu. Poza tym pragniemy rozszerzyć akcję, którą już teraz prowadzimy, a polegającą na ściąganiu młodych ludzi z Litwy czy Białorusi w celu pobierania w Polsce praktyk rolniczych. Myślę wreszcie także o zajęciu się hodowlą koni wszechstronnie użytkowych, tak potrzebnych do pracy polskim rolnikom na Wschodzie. W tym celu zamierzam kupić resztówkę ziemi z rozpadającego się pod Gdańskiem PGR-u, gdzie z kolei można by było na dalszym etapie osiedlić dwie rodziny z Kazachstanu.

- Dziękując za rozmowę, życzę wielu dalszych sukcesów w pracach Fundacji „Więź”.



Ronald Łaniecki (w środku) wśród artystów-amatorów z Wilna, którzy przybyli do Sopoty.

Fot. Archiwum

W GŁĘBOKIEM, POSTAWACH I ICH OKOLICACH

Krótką dygresją: parę tygodni temu z wielkim oburzeniem przyjęto tu artykuł, który ukazał się w gazecie „Izwestija”. Dwóch dziennikarzy moskiewskich po odwiedzeniu miasteczka Szktów w obwodzie mohylewskim nazwało Białoruś „państwem ogórkowym”, niedwuznacznie przywołując na myśl republiki bananowe.

Moim zamiarem bynajmniej nie jest przedstawienie w krzywym zwierciadle drwin wobec stron rodzinnych. Wola układów międzymocarstwowych zrzuciła, że się tam urodziłam i powracam ze wzruszeniem i życzliwością.

17 września, AD 1994

Jestem w Głębokiem - niegdyś ośrodku powiatu dzisiejskiego. Miasteczko jako jedno z pierwszych przed 55 laty „powitało” najeźdźców ze Wschodu.

Idę powoli, jest cicho i sennie. Czas jakby zatrzymał się w biegu, tylko z rzadka samochód przypomina o teraźniejszości. Nie wygląda na to, że tak ważna rocznica jest jakoś uczczona. Nic oprócz zapowiedzi o meczu piłki nożnej miejscowych drużyn. Staram się odnaleźć zmiany, jakie ostatnio tu nastąpiły. Pomnik wodza rewolucji przewędrował z placu w głąb skweru. Po drodze spotykałam go w każdym mniejszym czy większym mieście czy osiedlu: w Oszmianie, Smorgoniu, Mołodecznie, Postawach. W Wornianach, nie wiedząc czemu, naprzeciwko kościoła zabłąkał się aż w te strony Wasilij Iwanowicz Czapajew.

Teraz jak i półwieku temu Głębokie - daleka prowincja. Gros miasteczka, to drewniane domki, bez większego ładunku tworzące zawile uliczki między jeziorami. Tyle, że ich nazwy nawiązują do innej historii, która zdomowała się tutaj przez półwiecze i nie śpieszy opuszczać tych stron. Centralna ulica nosi imię Lenina, dalej - Moskowskaja, Krasnoarmiejskaja, Kirowa, Marksa, Engelsa, Gastełto i in. Próżno doszukiwać się nazwisk Radziwiłłów, Korsaków, Zenowiczów, którym to zawdzięcza się powstanie osiedla nad jeziorem Hlybokie.

Codziennosc

Spokój opanował miasteczko. Nawet prac jesiennych, część mieszkańców na „cichym polowaniu”, jak tu nazywają grzybobranie. Okoliczne lasy tego roku obrodziły w jagody i grzyby. Na żurawinach można nieźle zarobić, choć kiedy nie ma gotówki - do ręki wypłaca się tylko 15 procent zarobków, resztę przelewa się na konto. Podobnie wyglądają rozliczenia z nielicznymi na miejscowym gruncie „farmerami-arendatorami”. Przedsiębiorczość raczkuje, nawet na poziomie „kupno-sprzedaż”. Na wsi jest skutecznie wstrzymywana przez zarządy kołchozów, w miasteczkach przez brak inwestorów, wszędzie - przez galopującą inflację i niepewną politykę gospodarczą, jak dawnych, tak i nowych rządów. Chociaż..., w sąsiednim rejonie postawskim specjaliści z Niemiec zainstalowali komplet urządzeń do produkcji serów. Kilo smacznego sera o wartości 50 proc. tłuszczu kosztuje 6 tys. rubli (ok. 1,5 dolara).

Ceny

bardzo zróżnicowane i czasem wręcz niedorzeczne. Przejazd podmiejskim autobusem do odległej o 25 km miejscowości kosztuje 78 rb. (dla porównania: pierożek z twarogiem - 65, butelka wody gazowanej - 150, kilo soli - 154). Kilo wieprzowiny na bazarze - 4-5,5 tys., tyle samo co starej słoniny. Cieszy się ona większym popytem, bo wystarczy jej na parę tygodni. Kilo gram masła na rynku - 3 tys., w sklepie - 4, 10 jaj - 900-1 tys. rb.

W szybkim tempie natomiast wzrasta cena dolara. Chociaż planowano w związku z denominacją „zajęczka”, czyli białoruskiego rubla, utrzymać go na poziomie rubla rosyjskiego, już teraz ustępuje on w stosunku 1,8 do 1. Dolar 20

września kosztował ok. 4,2 tys., chociaż zaledwie przed 10 dniami - tylko 3 tys. rb.

Za komplet mebli płaci się od 600 tys. do 1,5 mln, za dywan - 230-300 tys., buty damskie firmy „Bewest” kosztują 100 tys., komplet pościelowy - do 20 tys. Zarobki lekarza w miejscowym szpitalu wynoszą od 60 do 90 tys. rb. Nic dziwnego, że kupujących w sklepach prawie nie ma.

Nowe władze

Lekkie zamieszanie, spowodowane wyborami prezydenta znów zastąpił stan powszechnego wyczekiwania „co dalej”. Prezydent jest częstym gościem na ekranach telewizorów, długo i z wielkim zapalem wygłasza przemówienia, stwarza wizerunek człowieka prostego i wrażliwego na cudzą biedę. Ów wizerunek „obroncy narodu”, owszem, odpowiada większości upodobań, ale coraz więcej ludzi zaczyna zastanawiać się, czy aby na tym nie kończy się aktywność głowy państwa. Szary człowiek oczekuje bowiem od prezydenta nie rozczulania się nad losem gimnastyków pozbawionych sali treningowej, lecz konkretnego programu przemian. Jak dotychczas wygląda na to, że takiego programu po prostu brak. Z jednej strony prezydent opowiada się za wspólną drogą rozwoju z Rosją, a z drugiej - sprzeciwia się rosyjskiemu wariantowi prywatyzacji.

Podobnie z przedwyborczymi obietnicami zwalczania korupcji. Wspomina się często wesele, które urządzili dla swych dzieci spiker parlamentu M.Hryb i b. minister obrony P.Kozłowski. Państwu to kosztowało niejedną dziesiątkę milionów, czy „pożyczka” będzie zwrócona i kto zostanie ukarany - na te pytania wciąż nie było odpowiedzi.

Granica

między Litwą i Białorusią „pracować” zaczęła od wiosny, powodując natychmiast tłumne kolejki pod ambasadami, całonocne czuwania po wizy. Obecnie lud wojażujący w obydwie strony przyzwyczaił się, choć niedogodności nie ubyło.

Jak to bywa w życiu, każdy problem powodza inicjatywę oddolną do jego pokonania. Koszt wizy na Litwę wynosi 7 dolarów. Formalności, poza niektórymi wyjątkami załatwia się w Konsulacie RL w Mińsku. Chociaż ostatnio handel ukierował się bardziej w stronę Rosji, przygraniczne rejony nie gardzą okazją zarobić w bliźnim zarubieję. Kto by tam chciał komplikować sobie życie jeżdżeniem po wizy do Mińska! No, i wyrusza sobie autobus w stronę Litwy, z pełnym kompletem pasażerów. Nie dojeżdżając tak na oko 200 metrów do posterunku granicznego część pasażerów wysiada i znika w pobliskim lesie. Po kontroli granicznej autobus rusza dalej, by za zakrętem zabrać zdyszanych „kontrabandyistów”, którzy przez ten czas zdążyli odbyć bieg na przelaj, ale zaoszczędzili na wizie.

Inny z kolei problem, to strefa przygraniczna. Została utworzona na granicy z Litwą i Łotwą jeszcze w lutym, lecz dopiero w sierpniu mieszkańcy należących do niej rejonów poczuli na własnej skórze, co to jest. Oto wybrał się człowiek odwiedzić znajomego w jednej z wiossek koło granicy. I... nie dojechał. Nie przepu-

ciły go służby graniczne z braku odpowiednich papierów. Przed moim pobytem całe wesele zawrócili podobno chłopcy w zielonych czapkach. Bilety do takich miejscowości sprzedawane są teraz tylko za okazaniem specjalnej przepustki. Obywatelom innych państw, tranzytowcom, nie wolno nawet zatrzymywać samochodu, podróżując po takiej „zonie”. Rygor jak za sowie-



Jesień w Nowogródku. W głębi - ruiny zamku i kościół farny.

Fot. Bronisława Kondratowicz

kich czasów! A może tu i tajemnicze przybyło?

Ocalić od zapomnienia, czyli spóźniona rehabilitacja

Zmiany na arenie politycznej zaowocowały również uwagą wobec osób represjonowanych. Większość z nich została rehabilitowana, również przez prokuraturę obwodu witebskiego po śmierci. Niezależna gazeta „Pogranicze” wydana w Postawach w języku białoruskim drukuje wykazy osób, których zmiażdżyła maszyna przemocy i totalitaryzmu. Trafili do mnie egzemplarz z listą represjonowanych w ówczesnym rej. duniłowickim, czyli w moich rodzinnych stronach.

Wczytuję się w nazwiska. Za każdym osobny los, osobne cierpienie i najczęściej jednokowy finał. Ciosy stalinowskich oprawców kierowały się przeciwko członkom dawnych organizacji patriotycznych, takich jak

„Krakusy”, „Strzelcy”, „Obrona Krajowa” i in. Nie miał żadnego znaczenia fakt, że konkretnej działalności „wywrotowej” tym ludziom nie udowodniono. W aktach oskarżenia - „propaganda i agitacja”, zarzuty powiązania z wywiadem polskim, policją. Wyroki - od 5 do 10 lat łagrów, zsyłki. Nazwiska wskazują na osoby narodowości polskiej, białoruskiej, rosyjskiej i żydowskiej. Wśród prześladowanych mężczyźni i kobiety, księża, nauczyciele, rzemieślnicy, chłopci, policjanci.

Część z nich otrzymała w latach wojny skierowanie do m.Buzuluk, gdzie zostali wcieleni do oddziałów Wojska Polskiego, część przekazano drogą amnestii władzom polskim, los większości nie jest znany. Na 40-osobowej liście znalazłam wzmiankę o moim wujku Bronisławie Kuchalskim, niepiśmiennym chłopie. Za udział w „Krakusach”, prowadzenie „rozmów antysowieckich” został zakwalifikowany do przestępców jako „socjalnie niebezpieczny element”. W 1940 roku skazano go na 8 lat i dalszy ślad po nim zaginął.

Czym były te 55 lat dla ludzi zamieszkujących niegdysiejsze pogranicza Rzeczypospolitej? Odpowiedzi będą długie i różne.

Moja rodzinna parafia rozpoczęła budowę Kalwarii. Już za rok stanie tu 14 kapliczek. Proboszcz uparcie i wytrwale potępia pijaństwo, nie zważając na niepowodzenia. Nie daje za wygraną, chociaż ostatnio wiejskie sklepiki coraz bardziej są zaopatrzone w tanie wino i wódkę o niejasnym pochodzeniu - w zamian za dostarczone ziemniaki. Nie poskąpiono i ceny - kilo ziemniaków - 500 rb., czyli za 10 kg można od ręki dostać butelkę wódki, lub 5 butelek wina! Ruch intensywny, bo i urodzaj na ziemniaki tutaj nie był najgorszy.

Czyżby rozpijanie narodu daje zapomnienie? Zbliża się zima, a dług za gaz dla Rosji wynosi już prawie pół miliarda dolarów. W miastach trwoga, na wsi jednak z głodu i chłodu się nie umrze. Niebawem rozpoczną się wybory samorządowe. Wiedząc z myślą o nich wybrał się do Postaw Zenon Poźniak ze swą drużyną, tu bowiem zebrał największą ilość głosów w wyborach prezydenckich. Można więc spodziewać się nowych obietnic i hasel, tyle że na poziomie lokalnym. Kiedy zaś z krajobrazu miast i miasteczek białoruskich znikną spizowce posągi obcych postaci z epoki przemocy - nikt nie potrafi odpowiedzieć.

Czesława Paczkowska

PIECZĄTKI
MAKIETOWANIE KOMPUTEROWE
WIZYTÓWKI
BLANKIETY
REKLAMA

DIPRINTAS Pylimo 45, Vilnius



tel/fax 22 78 05



EUROTURIZMO CENTRAS
Z firmą „Euroturizmo centras”

Podróż samolotem szybsza - autokarem tańsza!
ul. Basanavičiaus 29a, Wilno, tel.: 63-65-70, 65-11-76.

- WŁOCHY. wypoczynkowa, autokarem, 11-dniowa, 6 noclegów nad Adriatykiem. (1000 Lt).
 - WŁOCHY. autokarem, 11-dniowa, 6 noclegów. Wycieczki do Wenecji, Florencji, Rzymu, Watykanu, San Marino. (1530 Lt).
 - PARYŻ. autokarem, 7-dniowa, 4 dni w Paryżu, 1 - w Berlinie. (800 Lt).
 - LONDYN. samolotem, 4 noclegi w Londynie, każdej środy. (2300 Lt).
 - NORWEGIA przez SZWECJĘ. autokarem, 8-dniowa, 3 noclegi w Norwegii, 2 - na promie, 1 dzień w Tallinnie. (1400 Lt).
 - AUSTRIA. autokarem, 7-dniowa, 4 noclegi w Austrii. (800 Lt).
 - HISPANIA. autokarem, 13-dniowa, 2 noclegi we Francji, 5 - w Hiszpanii. (1680 Lt).
 - W końcu każdego tygodnia - do Francji i Szwecji po zakup samochodów.
- Wynajmujemy autokary i mikrobusy.

Dokumenty prosimy uprzejmie zgłaszać
z 3 -tygodniowym wyprzedzeniem.

Chcesz zarobić -
zgłoś się do
„Znad Wilii”!

Jeśli masz czas, zastanów się nad naszą ofertą. Redakcja zatrudni kolporterów pisma. Jest to zajęcie nie do odrzucenia dla emerytów, okazja dla uczniów, szczególnie w okresie wakacji. Mile widziana współpraca z pracownikami organizacji społecznych i placówek kulturalnych.

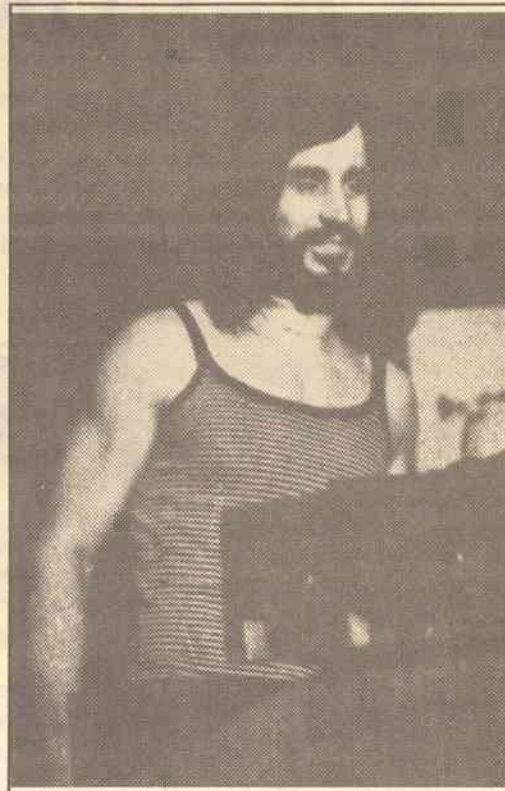
Zwracać się:
tel. 417587, 224245.

Poszukujemy
dystrybutora w Polsce

Redakcja „Znad Wilii” poszukuje dystrybutorów kolportażu na terenie Polski. Oferty prosimy kierować na adres redakcji:
Išganytojo 2/4, 2001 Wilno

PIĘKNY TEN ŚWIAT

Z Czesławem Niemenem
rozmawia Romuald Mieczkowski



Czesław Niemen w czasie koncertu na początku lat 70. Fot. Autor

Śpiewa Czesław Niemen w utworze „Terra Deflorata”. Jego twórczość poszukuje odpowiedzi na pytanie, czym i kim jest człowiek w świecie - *począwszy od Kaina* (to też tytuł jednego z utworów) - na naszym współczesnym poprzestawszy. Każde *spojrzenie za siebie* jest poszukiwaniem również *statusu* *mojego ja*, a dramatyzmu dodaje muzyka, której Niemen jest szczególnie wykonawcą, jednym z nielicznych instrumentalistów o tak bogatym warsztacie i możliwościach. Dlatego każdy jego występ jest wydarzeniem. Artysta zachował świeżość brzmienia swego niepowtarzalnego głosu, jest w świetnej kondycji, promieniuje uśmiechem i energią. Nadal wierzy, że jego muzyka może przynajmniej przyczynić się do zmienienia świata - na lepszy i piękniejszy, do przywrócenia wartości najważniejszych i boskiego ładu.

Nie jest jednakże Niemen tylko śpiewającym „prorokiem”. Ujmujący w rozmowie, mówi, że sięga do swojej dawnej twórczości i chętnie również dla publiczności wileńskiej zaśpiewałby swe „rock-and-rolowe kawałki”.

Artysta na scenie już przeszło 30 lat. Zainicjował po I Festiwalu Młodych Talentów w Szczecinie w 1962 roku. Wówczas powstały pierwsze własne kompozycje Niemena-Wydrzyckiego. Do roku 1966 współpracował z „Niebiesko-Czarnymi”, potem były „Akwarele”, „Niemen Enigmatic”, wreszcie własna, indywidualna droga. Czesław Niemen wzbogacił współczesną muzykę polską, przewodzi czołówce najambitniejszych jej twórców.

Robotestra

tylko zjawiska słyszalne
mogą stać się muzyką

elektroniczne instrumentarium
nie gwarantuje brzmień innych
poza istniejącymi w przyrodzie

wierność upodobaniom muzycznym
lenistwo słuchu

robotestra to zespół wykonujący muzykę
posługujący się niezliczoną
ilością elektronicznych palców

połączenia nie są widoczne
dlatego wzrokowcy twierdzą
że muzyka taka jest martwa
bezduszna

żaden wzrokowiec nigdy nie widział duszy
choć większość z nich wierzy w jej
nieśmiertelność

wzrokowcy są zdolni zachwycać się
tylko sobą

dlatego zbywają szyderstwem
precyzję robotów
maskując zabobonny lęk przed nimi

w najwyższym mniemaniu o sobie
człowiek po raz kolejny został
zdystansowany
przez własny wynalazek

czy udoskonalone protezy mózgu i ciała
z genetycznym kodem
w krzemowych kościach
uwolnią kiedykolwiek człowieka
z jego upośledzeń
w coraz dziwniejszym świecie...?
Niemen/Terra Deflorata, 1989

LIDER Formy do
produkcji kolorowej
kostki brukowej,
- barwniki do betonu;

Hurtownia petard i fajerwerków:
- dekoracje i art. karnawałowe;
- balony na hel.
Zapewniamy ciągłość dostaw.
Serdecznie zapraszamy!
Tel./fax 00 48/85/325 801
15-228 Białystok,
ul. Modrzewiowa 24

**Polskie Studio
Dokumentalistyki w Wilnie**
proponuje swe usługi
w filmowaniu.
Na sprzęcie wysokiej klasy
utrwalamy
uroczystości, wykonujemy
tematyczne zlecenia.
Tel. 22 42 45, 47 53 98.

Reklama w „Znad Wilii” dociera
nie tylko do rodaków na Litwie.
Ceny - umiarkowane, skutek - namacalny.
Ogłoszenia o charakterze społecznym
drukujemy bezpłatnie!
Wykonujemy usługi w zakresie
składu i małej poligrafii
(plakaty, ulotki, broszury).
„Znad Wilii”, Išganytojo 2/4.
Tel. 22 42 45, 47 94 80, fax 22 34 55.

SPÓŁDZIELNIA INWALIDÓW
Produkcja zabezpieczeń
przeciwwybuchowych
do kuchni gazowych,
pełnej armatury
elektronicznej do sterowania
pieców gazowych.
Czekamy na oferty Państwa!
Spółdzielnia Inwalidów
„Sintur”
62-700 Turek,
ul. Kolska 19, Polska
Tel./063/784 157, 784 528,
fax 785 195, telex 048657

8

ZNAD WILII
1994.10.18

5-lecie FKPL im. J. Montwiłła

Z tej okazji 7 października w siedzibie Fundacji odbyła się skromna uroczystość. Przybyli przedstawiciele niektórych organizacji, m.in. Rimantas Matulis, radny miejski, wiceprzewodniczący Funduszu Litwy, Algirdas Alionis, prezes Funduszu Literatury Litwy, Czesław Mickiewicz z Departamentu Problemów Regionalnych i Mniejszości Narodowych RL. Gości nie było dużo, przyszli ci, którzy utrzymywali kontakty z Fundacją Kultury Polskiej na Litwie, z małymi wyjątkami przedstawiciele środków przekazu.

Jubileusz przebiegał bez rozgłosu, a był to wynik sytuacji, w jakiej się znalazła Fundacja, jej prezes i ściśle kierownictwo. Sprawa nawet „otarla” się o sąd, chociaż i wygrany, to nie stanowiący jednak pocieszenia, gdyż tak naprawdę trzeba wiele pracować, aby Fundacji dawny prestiż przywrócić. Trudno być sędzią, kiedy chodzi o ocenę pracy społecznej. W działalności były niedociągnięcia, nie udało się jej z bardzo różnych powodów rozkręcić, zapewnić skuteczności niektórych poczynań, brakowało ludzi z odpowiednimi predyspozycjami. Z drugiej strony działało niemało tych, którzy pragnęli coś zrobić dla społeczeństwa.

Jakie by nie były interpretacje tej działalności, warto pracę tej placówki polskiej kontynuować i ożywić - poprzez realizację bardzo konkretnych projektów na rzecz pomocy kulturze, nauce i oświacie. Krytyka bywa niezbędna, niejako wypływa również z obowiązku dziennikarskiego, ale też trzeba pomóc - eliminując animozje ambicjonalne, szerząc współpracę ponad podziałami, z dopływem świeżych sił i pomysłów. Tego wypada życzyć Fundacji na następne lata, niezależnie od tego, kto w niej będzie pracował.

Tuż przed jubileuszem FKPL pozyskała nową tablicę na swym pomieszczeniu, w byłym gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie dysponuje pokojem. Zgodnie z wymogami jest to estetyczna tablica z napisami po litewsku i polsku.

T.B.

- Stwierdził Pan, że zamierza skomponować utwór pod takim tytułem. Przed laty określił Pan świat jako dziwny.

- Świat cały czas się zmienia, zależy też, co w nim chcemy widzieć. Nie można żyć tylko protestami. Świat ludzkich spraw nadal pozostaje dziwny. Dziwię się, a jednocześnie wiem, że świat jest piękny.

- Już na początku swej twórczości odszedł Pan od muzyki „lekkiej i przyjemnej”. Zadawał trudne pytania, sięgał do klasyki, poszukiwał innego wymiaru w tekstach i brzmieniu. Czy go Pan znalazł?

- Tak sądzę.

- Na czym to polega?

- Na swoistej, rzecz można, filozofii. Dla mnie zawsze bardzo ważne było przestanie, które niszczy tekst. Potem dopiero była muzyka. Choć oczywiste, że ma to tworzyć jedną całość.

- Pańska twórczość jest przykładem coraz większej harmonii ludzkich możliwości ze skomplikowaną techniką.

- Technika, to jest tylko instrument. Zawsze była jakakolwiek technika. Człowiek wymyślał instrumenty od zarania. Dziś nie ma nic nowego, elektronika zawsze była we Wszechświecie. Jest on elektroniczny.

- Pamiętamy Pana z koncertów w Wilnie. Kiedy to było, lat temu...

- O, wiele zmieniło się. Litwa jest samodzielną, wolną. Chętnie bym przyjechał.

- Kiedy?

- To zależy od zaproszenia. Ja w zasadzie nie występuję zimą. Ale już latem następnego roku można by zaplanować.

- Czy wracał Pan do swoich stron ojczy-
stych?

- Znajdują się one na dzisiejszej Białorusi, koło Lidy, 120 kilometrów od Wilna. Nie byłem tam od 1979 roku. Myślę, żeby Wasiliszki odwiedzić. Choć w czasie ostatniego tam pobytu powiedziałem sobie, że nie pojadę, zanim nie wyjdą stamtąd bolszewicy. Teraz już co innego. Może jakoś powrócę.

Daleś nam Panie
Cud Wszechświata
Owoc Wszechbytu Ziemię
człowiek
brutalny technokrata
gwałci jej przeznaczenie